Nr. 191. Lwów. — Sobota dnia 21. sierpnia **Rok 1886.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	**Na prowincji** z przesyłką pocztową
Miesięcznie -- zł. 75 ct.	Miesięcznie . 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie . 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie . . 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Prenumerata datuje tylko od 1 i 15.

Numer kosztuje 4 centy.

Adres Redakcji i Administracji: Ulica Sykstuska l. 45.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują:

WE LWOWIE: Administracja *Przeglądu* ul. Sykstuska l. 45. W WIEDNIU *Prenumeratę:* Zeitungsbureau Goldschmiedt (I. Wollzeile Nr. 6). — *Ogłoszenia:* M. Dukes, Schulerstrasse 1—3. Moritz Stern, Wollzeile 22. — Alois Herndl, Schulerstrasse 14 — Rudolf Moses, Seilerstadte 2.

OGŁOSZENIA przyjmują za opłatą **10** ct. od wiersza petitowego za pierwszy raz, a **5** ct. za każdy raz następny NADESŁANE w cenie **30** ct. od wiersza.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Joanny Frem. Jutro: C. 10 po św. Filiberta.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 4 m. 59 7 Długość dn. g. 14 m. 6·1
Zachód „ g. 7 m. 5·7 Ubyło „ 3·5 min.

W sprawie Muzeum Narodowego w Krakowie.

Otrzymaliśmy z **Paryża** następujące pismo:

„...Piszę do was z wielkim żalem, z wielkim niepokojem; piszę za wolą i porozumieniem z kilkoma zacnymi i znanymi ludźmi, którzy równym żalem i niepokojem są przejęci. Jakiż to był entuzjazm, gdyśmy w Krakowie przed laty święcili pierwszy pomysł założenia Muzeum Narodowego! — pomysł podniesiony przez Siemiradzkiego, który zarazem tyle świetną położył podwalinę pod tę instytucję, czyniąc ofiarę ze swojego wielkiego arcydzieła: „Pochodnie Nerona.“ Artyści polscy poszli za tym przykładem, kraj i miasto Kraków zajęły się tem nowem schroniskiem dla myśli, przeszłości i nadziei polskich, instytucja zorganizowała się.. — ale cóż się dzieje? Nie chcąc bawić się w ogólniki, przytaczam **trzy fakta**:

1. Pan Władysław Mickiewicz podarował już do Muzeum Narodowego cenne pamiątki po największym poecie polskim. Nieustając w pracy zbieracza, prowadzonej ze szczerym pietyzmem, za który od narodu wdzięczność mu się należy, zgromadził on znowu wiele rękopismów, korespondencyj i tp. Adama Mickiewicza i zawiadomił dyrekcję Muzeum Narodowego, że takowe znowu podarować mu zamierzył. Na to zawiadomienie — słuchajcie! — otrzymał od dyrekcji odpowiedź, że w **Muzeum nie ma miejsca**, nie ma szaf — słowem odpowiedź napisana w ten sposób, że jej sensem jest: Dajże nam pan raz już pokój i przestań nas nudzić! — W Muzeum Narodowem nie ma miejsca na pamiątki po Mickiewiczu! To straszne, to przerażające...

2. W Fryburgu (w Badeńskiem) mieszka stary Polak, który całe życie zbierał rzadką broń. Zbiór ten cenili znawcy w wartości 60.000 marek. Zbieracz ten ofiarował ową broń do Muzeum Narodowego — i otrzymał odpowiedź, że **Muzeum nie ma miejsca!...** Rozżalony i rozgniewany, podarował cały zbiór miastu Fryburgowi. Jest w tym zbiorze, oczywista, wiele polskiej broni, ale w ogóle zbiór nader cenny, czyliż można, czy wolno, czy godziło się dar ten odrzucić? Wszak skarby takie mogłyby w danym razie bodaj służyć do wymiany na inne, wyłącznie polskie. A wszakżeż zbiór kamei p. Szmitta-Ciążyńskiego, to nie polskie rzeczy, a przecież słusznie uznano wielką wartość nabycia go dla Muzeum...

3. Mieszkajacy w Paryżu p. **Osławski**, posiada cenne, obfite zbiory pamiątek, starożytności, dzieł sztuki polskiej. Nosił się on z myślą ofiarowania wszystkiego dla Muzeum Narodowego, lecz porzucił tę myśl, nauczony, jak powiada, smutnem doświadczeniem: „Mam się narzucać i jeszcze za to otrzymać niegrzeczną rekuzę“...

W tem położeniu, co pan Osławski, jest wielu Polaków po całej ziemi, radziby oni przyczynić się do wspaniałości Muzeum Narodowego, lecz lękają się, chociaż posiadają rzeczy o stokroć cenniejsze, niż te (lubo także potrzebne) które Muzeum przyjmuje lub nabywa.

Dodam jeszcze jedno: Pewien znany antykwarjusz w Paryżu posiada od pewnego czasu gobeliny z Polski. Wygadał on się, że pochodzą one z katedry naszej wawelskiej... Nie mogłem sprawdzić, nie widziałem tych gobelinów; zdaje się, jak gdyby antykwarjusz ten żałował, że się z czemś wygadał, gobeliny schował, milczy... Jednak rzecz ta wymagałaby zbadania...

Komunikuję wam te sprawy — zabierzcie głos. Wiecie, że nie pisałbym na wiatr, że komunikuję wam prawdę — bardzo, bardzo smutną“...

Pojmując, jak bolesne są zarzuty, czynione w tym liście dyrekcji Muzeum Narodowego, w pierwszej chwili wahaliśmy się go ogłosić. Ale idzie tu o rzecz bardzo ważną, a autor listu jest osobą tak poważną i sumienną, że zgoła nie możemy wątpić o jego poczuciu odpowiedzialności. List ten więc umieszczamy w nadziei, że zwróci on uwagę właściwych sfer, a te się zajmą wyjaśnieniem sprawy i naprawą tego, co tu jeszcze da się naprawić. Z prośbą o wyjaśnienie zwracamy się przedewszystkiem do samejże dyrekcji Muzeum Narodowego, jako do najbardziej interesowanej w tej sprawie; następnie z tą prośbą udajemy się do czcigodnego Prezydenta miasta Krakowa, do Akademji Umiejętności i wreszcie do Szanownej Redakcji *Czasu*, którą prosimy o rozpatrzenie tej sprawy na miejscu, o dołożenie starań w celu jej wyjaśnienia i naprawy, jeśli się ona okaże potrzebną.

Rozumiemy, że przez ogłoszenie niniejszych wiadomości opinja publiczna w kraju tak samo się zaniepokoi, jak już jest zaniepokojona za granicami jego. Tem więc rychlej wyjaśnień potrzeba. Ufamy tedy, że apelacja nasza do wyżej wymienionych instytucyj i osób odniesie prędki i pożądany skutek.

Piszą nam z Wiednia:

Czesi są naszymi sprzymierzeńcami parlamentarnymi. Już ta jedna okoliczność, gdybyśmy wszelkie inne pominęli, sprawia, że całe postępowanie Czechów nas obchodzi i zajmować się niem musimy.

Miara jest warunkiem powodzenia tak dobrze w polityce jak we wszelkiem innem działaniu. Nie może nikt zarzucić, żeby parlamentarny klub czeski wykraczał przeciw temu warunkowi. Inaczej jednak ma się rzecz w samychże Czechach; niektórzy posłowie w swoich sprawozdaniach, niektóre zebrania w swoich uchwałach, niektóre dzienniki czeskie w swoich artykułach odstępują od warunku miary, wywołują opozycją, narażają Czechów na dotkliwe pociski, dają wrogom broń w rękę, szkodzą i Czechom i całej prawicy w opinji publicznej. Nie chcemy bynajmniej twierdzić, żeby i u nas niektóre pisma, rzucające się na cztery wiatry, grzechów podobnych nie popełniały. — Zachodzi jednak wielka różnica. U nas owe pisma nie mają żadnego znaczenia i wpływu, ani liczbą abonentów, ani zdolnością redakcyj. Inaczej w Czechach, gdzie pisma grzeszące szowinizmem, mają po za sobą tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy zwolenników.

Chcemy dzisiaj rozważyć po krótce sprawę językową. O projekcie staatssprache nie mamy powodu na razie się rozwodzić, zgadzamy się w tym względzie z Czechami. Lecz stosunki językowe w kraju. Okoliczność, że przy egzaminach prawniczych kandydaci czescy licznie przepadają z powodu nieznajomości języka niemieckiego, wywołała ponownie żądanie, żeby jak niemiecki tak czeski język był obowiązkowym przedmiotem we wszystkich szkołach w Czechach. Otóż żądanie to na teraz jeszcze nie wydaje nam się słusznem. Jako Polacy, jako Słowianie torturowani przez germanizację w Prusach i przez rusyfikację w Rosji — musimy przecież wyznać i uznać, że inne jest stanowisko czeskiego a inne niemieckiego języka. Czeski potrzebny tylko w kraju, niemiecki w całem państwie. W niemieckich, w wyłącznie niemieckich okręgach Czech — skoro są niestety takie, a z faktem liczyć się trzeba — nie można przymuszać do uczenia się języka, który po za krajem nie jest potrzebny. Natomiast należy i potrzeba nawet tam naukę języka czeskiego ułatwić, należy, żeby przy każdej szkole był odpowiedni nauczyciel — ale żeby przedmiot ten był dobrowolnym, fakultatywnym. Niemcy rozumni będą się wtedy uczyć drugiego, przeważnego języka krajowego — ale więcej, sądzimy, że na teraz wymagać nie można. A nawet dziwimy się, że Czesi żądają czego innego. Wszak jeżeli Niemcy w okręgach wyłącznie niemieckich nie będą się dobrowolnie po czesku uczyć, to sami sobie będą szkodzić.

Będą oni wtedy wykluczeni od wszelkich zawodów po za tymi okręgami niemieckimi, podczas gdy w razie władania czeskim językiem mieliby prawo i możność rozlewania się po całych Czechach, zostając przytem Niemcami. Przeciwnie Czesi, będąc obowiązani do nauki języka niemieckiego, mogą otrzymywać umieszczenia nawet w niemieckich okręgach zostając przytem Czechami i patrjotami. Korzyść jest tylko po stronie Czechów. Z czasem mogą się tym sposobem z okręgów niemieckich zrobić okręgi mięszane — to rzecz przyszłości. W przyszłości też dopiero, jeżeli się to stanie będą mogli Czesi słusznie domagać, żeby i w tych okręgach już mięszanych nauka języka czeskiego stała się obowiązkową.

Rzeczą Czechów jest na podstawie władania językiem niemieckim starać się lokować w okręgach niemieckich; jest to kwestja żywotności, cierpliwości, wytrwałości narodu czeskiego. Ale innej drogi nie ma i dzisiaj Niemców zmusić się nie da, a podnoszenie żądań takiego przymusu wywołuje tem większy opór, zaciętość Niemców, na czem naród czeski nic nie zyskuje i zaostrza się wewnętrzna rozterka w państwie. Tak nam się sprawa ta wydaje ze stanowiska trzeźwego a dla Czechów życzliwego rozpatrywania danych stosunków.

Reskrypt ministra wojny, wymagający znajomości języka niemieckiego od aspirantów na oficerów, wywołał również tu i ówdzie mylne komentarze i obawy. Oficer w armji austrjackiej — dopóki państwo jest tem i takiem, jakiem jest, musi umieć po niemiecku, jeżeli ma być przydatnym i jeżeli dla siebie samego ma mieć pole do awansu otwarte.

Jest to oczywistość tak bijąca w oczy—że już chyba nie potrzeba jej udowadniać. Wyciąganie stąd wniosków, konsekwencyj i obaw odnośnie do zagrożenia równouprawnienia narodowości itp., nie ma żadnej podstawy. W pułkach każdej narodowości muszą i powinni oficerowie znać język żołnierzy — inaczej stosunek ich do żołnierzy i na odwrót byłby zwichnięty, byłoby bardzo źle dla armji. Jest to również oczywistem i jasnem, lecz jest to zupełnie inna sfera—której z tamtą mięszać nie należy...

Z wielką przyjemnością natomiast spostrzegliśmy, że poważne dzienniki czeskie zaczynają zdrowiej zapatrywać się na Rosję, że widzą, iż Rosja nie zna Słowian, nie uznaje, nie znosi żadnej narodowości prócz rosyjskiej i prawosławia. Taka Rosja, a dotąd nigdy inną nie była, jest groźbą i wrogiem, jest zmorą tak dla Czechów, jak dla Polaków, Serbów, Bułgarów — tyle że zmora ta bezpośrednio na Polakach ciąży.

Sądzimy, że od czasu należy nam się porozumiewać z Czechami, że jest to zadaniem dziennikarstwa—dlatego szlemy dzisiaj Czechom te uwagi nieuprzedzone, życzliwe, przyjazne, ale trzeźwe.

Samobójstwa.

Żaden rok może dotąd nie obfitował w taką liczbę samobójstw, co bieżący. Dzienniki zarówno krajowe jak i zagraniczne, przepełnione

są wiadomościami o udanych lub nieudanych zamachach na własne życie, dokonywanych przez ludzi z różnych warstw społecznych. W samym Paryżu obliczają na 370 liczbę tegorocznych samobójstw, a właśnie onegdaj my w kronice miejskiej musieliśmy zanotować przykład tego chorobliwego czasów naszych objawu. Z powodu tego faktu słyszeliśmy zdania, które nas zmuszają do paru pobieżnych uwag.

Nazwaliśmy samobójstwa objawem „chorobliwym" nie dla tego, byśmy wszystkie samobójstwa zboczeniom umysłowym przypisywać mieli. Nie jesteśmy zwolennikami owych teoryjek, które najohydniejsze czyny człowieka chorobą jego woli usprawiedliwiają i które w medycynie szukają tylko źródła moralności. Są niezawodnie wypadki, gdzie samobójca odbiera sobie życie w stanie umysłowego obłędu, ale większość, śmiemy to powiedzieć, robi to przytomnie i z całą świadomością popełnianej zbrodni, jak właśnie miało być w onegdajszym lwowskim wypadku. I oni są chorzy, ale nie jest to choroba, na którą medycyna może wynaleść lekarstwo; są to moralne zboczenia duszy, które w fałszach spółczesnych teoryj życia swoje objaśnienie, ale nie usprawiedliwienie znajdują. Owe to teorje właśnie uczą nas sądzić o ludziach, ich prawach i obowiązkach ze stanowiska indywidualnego i oceniać ich czyny miarą osobistego interesu. Niedawno z okazji samobójstwa, gdzie człowiek cieszący się sympatją i szacunkiem ogółu, stargawszy wszystkie moralne węzły i zhańbiwszy honor swój i imię, w zabójczem narzędziu poszukał rehabilitacji, zdarzyło nam się słyszeć takie zdanie: „A jednak było w nim jeszcze poczucie honoru, skoro nie mógł przenieść na sobie takiego poniżenia i wolał życie sobie odebrać". — Z okazji innego znów samobójstwa, podziwiając silną wolę samobójcy, mówiono: „Nieszczęśliwa ofiara losu i warunków, wielka i ambitna dusza. Cóż dziwnego..." I wzdychając głęboko, dodawano śmiało: „Dziwić się raczej należy, że w naszych nieszczęśliwych warunkach, gdzie wszystko się przeciw nam sprzysięgło, tak mało ludzi targa się na własne życie"...

Oto są zdania współczesnych filozofów życia. Cóż dziwnego, że gdy ludzie, skądinąd rozważni, podobne wypowiadają opinje, liczba samobójstw z każdym rokiem wzrasta. A jednak któż z trzeźwo i po chrześcjańsku na rzeczy patrzących zgodzi się na owe teorje, kto z ludzi honorowych z charakterem i rzetelnie kraj swój miłujących, targnie się na swoje życie, choćby je w najcięższych pędzić mu przyszło warunkach?

Smutnem jest owo wrzekome poczucie honoru, które do samobójstwa prowadzi. Ten sam egoizm i ta sama próżność, która silniejszym była w życiu bodźcem niż honor, skłania onych wrzekomo honorowych ludzi do odebrania sobie życia wtedy, gdy już świat ma się od nich z pogardą odwrócić. Jaką po sobie zostawią spuściznę? jakie owoce zbierać będzie po ich śmierci nieszczęśliwa choć niewinna rodzina, współobywatele i kraj cały? — to im wszystko jedno, byle oni zasłużonego nie cierpieli poniżenia. Egoizm za życia, egoizm za grobem — oto jest ich honor.

A owe nieszczęśliwe ofiary losu, dla których współczucie nie pozwala nam trzeźwo ocenić ich czynów, czyż wiele więcej są warte? Nie myślimy wdawać się w rozprawy nad tem, czy do odebrania sobie życia odwagi potrzeba, czy jest to tylko dowodem tchórzostwa. Znamy ludzi, którzy najboleśniejszym operacjom chirurgicznym się poddając, nie okazywali przedtem najmniejszego strachu, a jednak cóż stąd o ich wartości moralnej wyrokować można? Samobójca nie ma również przed sobą nic więcej, jak tylko bolesną, ale przytem nader krótką operację, boć on przecie w życie zagrobowe nie wierzy wcale. Odwaga więc jego jest kwestją konstytucji fizycznej jego organizmu, kwestją nerwów, lecz nie hartu duszy. Podziwiajmy więc, jeżeli nam się to podoba, ów silny organizm i wytrwałe nerwy, ale niech nam to nie przeszkadza oceniać moralnej wartości samobójców.

De mortuis aut bene aut nihil, zapewne! To też nie myślimy na pamięć niczyją daremnych rzucać oskarżeń, ale pragniemy, aby nie szukano bohaterstwa tam, gdzie go nie ma, aby nie bałamucono zdrowych pojęć ogółu otaczaniem aureolą męczeństwa zwykłych samobójców, aby nie zachęcano tym sposobem ludzi słabego umysłu i serca do sięgania po owe laury.

Nie po różach stąpamy wszyscy, niezawodnie, ale nam nie wolno cofać się nawet z drogi cierniami wysłanej. Zycie każdego z nas nie do niego tylko samego należy, ale jest w części własnością jego rodziny, współobywateli i kraju całego. Więc cząstkę własności ogólnej wydziera krajowi ten, kto siebie życia pozbawia. A gdy owa własność ogólna ze wszech stron jest zagrożona, gdy szeregi walczących szczupleją coraz, czyż to nie zbrodnia własnemi rękami je zmniejszać? Cierpieć nam przyszło... więc cierpmy z wiarą i ufnością, że przyszłość lepszą zgotuje nam dolę. A im kto głębiej odczuwa wspólnych nieszczęść brzemię, tem wytrwalej dla celów wspólnych dźwigać je powinien. Wszak z życia jednostek, życie społeczeństw się składa, a my żyć chcemy, żyć powinniśmy!

Za powód częstego dziś zniechęcenia, prowadzącego nieraz do targnięcia się na własne życie, podają niektórzy ambicję, która u nas jakoby na ciężkie bywa wystawiana próby. Namby się przeciwnie zdawało, że to raczej zupełny brak ambicji bywa samobójstw przyczyną.

Człowiek prawdziwie ambitny nie dopuści się nigdy czynu takiego, za któryby mu się rumienić przyszło, a nie dopuści się go nie z obawy przed wyrokami opinji publicznej, lecz dla tego, że poczucie własnej godności i honoru na spełnienie czynu takiego nie pozwoli mu. Ten zaś, kto jedynie względami opinji mierzy wartość swoich czynów i kto z nią tylko, a nie z własnem sumieniem całe życie prowadząc rachunki, przy likwidacji widzi się bankrutem, to nie ambitny, to — próżny.

Dalej mówią, jakoby u nas ludzie ambitni z niezależnych od nich powodów na ciężkie bywali narażeni próby. Ale czy to tylko w istocie ambitni? Pierwszym, kardynalnym warunkiem pozyskania szacunku u drugich jest samemu cenić swoję godność i szanować się. Kto o tem nie zapomina, na tego ambicji niezawodnie nikt eksperymentów robić się nie ośmieli. Kto zaś w widokach osobistych korzyści płaszczyć się, poniżać i schlebiać potrafi, ten dziwić się nie powinien, jeżeli szacunku nie zyska i jeżeli odpowiednio traktowanym będzie. Pewnej kategorji ludzie, zwłaszcza na niskim stopniu umysłowego rozwoju stojący, tem celują, że lubią drugim okazywać swoję w stosunku do nich wyższość i traktować *en canaille* każdego, kto na to pozwoli. Wprawdzie za to pozwolenie w zamian zyskuje się czasem chwilowo lepszą sytuację i opiekę wyższych, ale szacunku — nigdy. Kto więc tego szacunku pragnie, ten powinien przedewszystkiem wypełniać ściśle włożone na niego obowiązki, ale zarazem przestrzegać poszanowania swoich praw — i to nietylko tych, które są określone artykułami ustaw obowiązujących, ale i tych, które w społeczeństwach cywilizowanych towarzyskie przepisują stosunki... Ze o tych prawach u nas zapomina się często, że w pewnych sferach naszego społeczeństwa daje się od jakiegoś czasu spostrzegać pewne poniżenie, znikczemnienie i brak osobistej godności, to jest niestety, rzeczą aż nadto widoczną. Cóż dziwnego, że owo własnowolne poniżenie rozzuchwala tych obcych nam z języka i plemienia, którzy go dla nas pragną?...

Na naszych ziemiach.

Z Wilna piszą, że z linji kolei Wierzbołowskiej, usunięto w tych czasach 54 Niemców, przeważnie Prusaków, którzy na rozmaitych posadach zajmowali stale miejsca tak w ruchu kolejowym, jak przy ekspedycji i nawet w warsztatach. Jeden z warsztatowych służył przeszło dwadzieścia lat, t. j. od czasu wydalenia Polaków ze służby, a przyjęcia Rosjan i Niemców. Zdawało mu się, że ta okoliczność uwzględniona będzie, oświadczył więc gotowość przyjęcia krajowego poddaństwa, lecz mu odpowiedziano, że Niemców, a zwłaszcza Prusaków ukrajowienie nie obowiązuje nic zgoła, zatem i dymisja nie może być cofnięta. Tak rzecz zdecydowano w ostatniej instancji, do której Niemiec się odwoływał.

Niemiecka pedagogiczna prasa zajmuje się teraz wiele metodą nauki, zaprowadzoną w szkołach zwiedzanych przez polskie dzieci. Przytem zdradza się, że zupełnie jej obojętnie, czy się w szkołach dzisiejszych umysł polskich dzieci rozwija, czy nie; czy polskie dzieci są w stanie dawane im w obcym języku wiadomości zrozumieć, duchowo przerobić i spamiętać lub nie; czy wreszcie pod względem wychowawczym i religijnym wynoszą korzyści, jakie im szkoła dać powinna. W oczach tych pseudo-pedagogów byłyby i najlepsze wiadomości odebrane w polskim języku jakimś rewolucyjnym, arcyszkodliwym nabytkiem; u nich ma nauka tylko wtenczas wartość, gdy jest zyskana za pomocą języka niemieckiego. Troska o to, aby polskie dzieci niemiecki język tak poznały, iżby go w miejsce ojczystego używały, nie dozwala im spać.

Blätter für die Schulpraksis zajmowały się w artykule ciągnącym się przez trzy ostatnie numera sprawą początkowej nauki niemieckiego języka w polskich szkołach. Autor artykułu jest przeciwny wyjaśnianiu polskim dzieciom niemieckiej nauki za pomocą ich języka ojczystego, przeciwny jest tłómaczeniu z jednego języka na drugi, w miejsce tego każe oprócz środków poglądowych użyć różnych brzmień naśladujących odgłosy czynności, a tylko w koniecznej potrzebie dozwala się uciec do wyrazów polskich, mających z niemieckiemi równy lub podobny źródłosłów. Dowód skuteczności tych środków widzi autor w nauce z głuchoniemymi i niewidomymi.

„Jeżeli — powiada — uczniowie zakładów głuchoniemych i niewidomych, którzy pozbawieni są najważniejszych zmysłów potrzebnych do zewnętrznych wrażeń, w ten sposób pobierają naukę, to tem więcej można się spodziewać dobrych skutków takiego postępowania z dziećmi obdarzonemi wszystkimi zmysłami." A więc zdrowe na ciele i umyśle dzieci nasze mają zdobywać sobie naukę w ten sam sposób, jak owe nieszczęśliwe istoty nieposiadające wszystkich zmysłów. Piękni to następcy Komeńskich, Pestalozzich, Diesterwegów, którzy takie pedagogiczne rady w świat puszczają! Sama ta rada ocenia dostatecznie praktykowany w szkołach naszych system nauki. Doskonałe robi świat postępy, jeżeli bez wstydu podobne zasady wygłasza i rzeczywiście w czyn przeprowadza. Biedne nasze dzieci bowiem bywają istotnie jako ułomne, od natury upośledzone w szkole traktowane. Wbijają im w pamięć zdania, których nie rozumieją — i to się nazywa nauką.

Nad sprawą ratowania ziemi naszej przed niemiecką chciwością, toczy się w Wielkopolsce gorąca dyskusja. Myśl założenia banku ratunkowego — instytucji na wpół dobroczynnej, bo akcjonarjusze nie pobieraliby procentów — upadła, bo, co dla każdego jasno, była niepraktyczna.

Inny projekt podał *Kurjer Poznański*. — Zdaniem tego pisma należałoby założyć instytucję czysto-kupiecką, opartą na czysto-fachowych zasadach kupiectwa, „niebawiącą się w żadne fantazje, predylekcje, czułości i nepotyzmy. „Na czele takiej instytucji — mówi dalej *Kurjer* — musieliby, jako zarząd i rada nadzorcza stanąć ludzie, którzyby stanowiskiem i przeszłością swoją umieli wzbudzać zaufanie i zyskać poparcie tak magnatów, jak i skromniejszych kontrybuentów. Organizację tej instytucji oprzećby należało na ustawie z dnia 4. lipca roku 1868, na której opierają się spółki zarobkowe systemu Schultze'go z Delitzsch i Raiffeisen'a, rozpowszechnione już dzisiaj po całej Europie."

Ostatnia mianowicie myśl *Kurjera*, aby nowo powstać mającą instytucję oprzeć na ustawie z 4 lipca 1868 r., zdaje nam się bardzo rozumną. Spółka, na tych zasadach oparta, do którejby weszli wszyscy zamożni obywatele wszystkich stanów, stałaby się przez swą solidarną odpowiedzialność wszystkich odpowiedzialną za więcej, niż *sto milionów marek*. — Instytucji z tą odpowiedzialnością napływałyby kapitały *zewsząd*, bo nie byłoby obawy, że pieniądze te pójdą *aux fonds perdus* — nie byłoby obawy, że zmarnowawszy kapitał akcyjny, zwróci deponentom tylko część kapitału. W takiej instytucji mogliby składać bez wszelkiej wątpliwości swoje kapitały owi magnaci, o których lubi wspominać *Dziennik poznański*; a gdyby ci magnaci mieli się okazać idealną mrzonką — to i w takim razie instytucja tego rodzaju we wszystkich bankach tani kredyt wyrobićby sobie mogła.

Korespondencje.

Wiedeń 19. sierpnia.

(Niezwykły objaw miłości dla cesarza. Festyn w Praterze.)

(L—i) Nie wiem, czy się na co przyda moja korespondencja, ale stał się tu wypadek tak osobliwy, że zanim przez dzienniki otrzymacie o nim wiadomość, chciałbym ją wam zakomunikować.

Rozmaite wyprawiano w dniu urodzin Najj. Pana owacje, śmiało jednak powiedzieć można, że takiej nie było jeszcze nigdy i nigdzie. Rano dnia tego przechodząc przez plac śtgo Szczepana, zdziwiłem się niemało widokiem tłumów, patrzących ku szczytowi wieży.

Więc i ja wytężam wzrok w tym kierunku...

Nic osobliwego! Tylko czarnożółta chorągiew powiewa u samego wierzchołka. Pytam tedy „pierwszego z brzegu", co się stało.

„*S'war a' waghals'ge Ovation!*", brzmi spokojna odpowiedź, poczem *gemüthlich* wyjaśnia mi nieznajomy całą sprawę.

Doprawdy, brzmi ona, jak bajka, a jednak prawdziwa jest aż do najdrobniejszego szczegółu... Ubiegłej nocy dokonano niezwykle zuchwałego przedsięwzięcia. Wyobraźcie sobie: o 2giej nad ranem zajeżdża przed tum śtego Szczepana dorożka, a z niej wysiada człowiek w robotniczem szarem odzieniu z drzewcem na 10 metrów długiem i owiniętem jakąś czarno-żółtą materją.

Ledwie fiakier odjechał, przybysz przypasawszy drzewce nakształt miecza do boku, podchodzi ku gromozwodowi. Jedno okamgnienie i— robotnik wisi już z rękoma u drutu elektrycznego, potem z zadziwiającą chyżością wspina się ku górze. Spostrzegłszy to ktoś z przechodzących, staje; choć już późna godzina, gromadzą się dokoła niego inni. Widzą ciemną masę niknącą wzdłuż wieży ku wierzchołkowi, masę coraz mniejszą, aż wreszcie ginącą w zmroku.

Uwiadamiają o dziwnem zdarzeniu policję, inspektor straży pożarnej wysyła wóz ratunkowy i kilku ludzi dla udzielenia pomocy śmiałkowi, który niezawodnie przecież musi głową przypłacić. Ale zbyteczne obawy. Zuchwały owacjonista dostał się już do orła cesarskiego, umieszczonego na szczycie wieży, zatyka żerdź, a wiatr porywa płótno żółto-czarnego sztandaru z napisem „*Hoch Kaiser Franz Joseph!*“ i rozwiewa je w powietrzu. Straż wieżowa nie chce własnym wierzyć oczom. Kot-człowiek wita przerażonych obojętnem „*Guten Morgen!*“ z prośbą, aby nie robili mu ambarasu, bo on bardzo miłuje Najj. Pana, i dla tego musiał umieścić na szczycie wieży chorągiew. Poczem spokojnie zabiera się do odwrotu tą samą drogą, którą się dostał na wieżę. Szare ubranie i ciemność czynią go niewidocznym dla oka przybyłych policjantów i strażaków ogniowych.

W drodze zdejmuje jeszcze buty, które mu zanadto ciężą i które muszą teraz gdzieś wisieć na wieży.

Przebywszy już większą połowę drogi, zostaje spostrzeżony. Wzywają go, aby się spieszył, zanim go siły opuszczą. Flegmatycznie a donośnym głosem odpowiada nieproszonym opiekunom, że wspinając się tak wysoko, trzeba sobie z powrotem wypocząć. Nie robi jednak długich przestanków, i jakkolwiek nieco znużony, dostaje się nietknięty w ręce czekających „wachmanów“. Wzięty teraz do przesłuchania, kiedy wymienił motywa swego zuchwalstwa: chęć złożenia patrjotycznego hołdu NPanu i gorącej miłości do osoby monarchy, — odzyskuje zaraz napowrót wolność.

Nic dziwnego, że śmiały owacjonista jest dziś bohaterem dnia. Zwie się on Józef Pürcher, pochodzi ze Styrji, mieszka w X dzielnicy i trudni się zawodowo tynkowaniem i malowaniem wieżyc.

Człowiek ten silnej budowy ciała, jakkolwiek na jednę nogę utykający, — przedstawia się bardzo sympatycznie. Pürcher był zajęty dotąd przy reparacji 130 wież kościelnych w Austrji i na Węgrzech, obecnie zaś ma zatrudnienie przy wieży św. Jana na Favoritem. Aby się dostać na szczyt iglicy św. Szczepana i powrócić, potrzebował półtora godziny czasu.

Jeszcze raz powtarzam: brzmi ta opowieść jak bajka, a jednak jest prawdziwa aż do najdrobniejszego szczegółu...

Co roku odbywa się w Praterze w dniu urodzin Najj. Pana wielka uroczystość ludowa, na którą wszystkie warstwy społeczne Wiednia niezliczonych wysyłają reprezentantów. Równie świetnie, jak lat ubiegłych, odbyła się ona także tego roku.

Już około 2 po południu zgromadziły się w Praterze ogromne tłumy ludności, oczekując przybycia kapeli muzycznych.

Cały Prater, jakoteż wiodące doń wiadukty Nordbahnu przybrały odświętną postać. Wzdłuż głównej alei przysposobiono tysiące lampionów, a co kroku spotykało się tarcze z emblematami. Wszystkie kawiarnie, gospody i budy uważały za punkt honoru przystroić się stosownie do uroczystej chwili.

Zanim przybyły kapele, przedstawiała się główna aleja, jak amfiteatr przed rozpoczęciem przedstawienia; niepodobna zaś opisać ruchu i wrzawy, jakie potem zapanowały na całej wielkiej przestrzeni Prateru. W dwudziestu dwóch „etablissements“ dawano regularne koncerty, zaś w ośmnastu grała muzyka do tańcu. Wszystkie restauracje i osobliwości Prateru były w istnem oblężeniu.

U wstępu ustawiła się armja przekupniów sprzedając lampjony, kwiaty, zapałki, laski i tp. inne rzeczy. Ścieżki przepełniali piesi uczestnicy uroczystości, a równie silny ruch panował na drodze przeznaczonej dla ekwipaży.

Już o godzinie 8 wieczorem musiała policja zupełnie wstrzymać komunikację konną i kołową, gdyż olbrzymie masy publiczności nie mogąc znaleść dla siebie dość miejsca na chodnikach, zalały także środek drogi.

Kulminacyjnym punktem uroczystości był przyjazd Następcy tronu z małżonką i nieliczną świtą. Przywitani entuzjastycznymi okrzykami, udali się dostojni goście do ogrodu Waldsteinskiego, gdzie zasiedli do stołu w kole arystokracji wiedeńskiej.

Prześliczny był to widok, kiedy o zmroku zapłonęły nagle światła. Lampiony, smolnice i gazowe latarnie noc w dzień przemieniły, zaś gwar rozochoconego ludu i dźwięki muzyk rozlegały się w powietrzu z podwójną siłą. O godzinie 10 część publiczności z lampionami i bengalskiemi świeczkami w ręku, wyruszyła z Prateru, ścisk panował jednak tak wielki, że o regularnym powrocie tłumów mogła być mowa dopiero po północy.

W uroczystości tej wzięło udział wedle pobieżnego obliczenia co najmniej 200.000 osób.

Paryż 18. sierpnia.

(*K. W.*) Uważni czytelnicy spostrzegli to może sami, że alarmujące wieści o omdlewaniu, atakach paralitycznych i t. p. fatalnościach, spotykających sędziwego naczelnika francuskiej republiki, ustały zupełnie, odkąd pan Grévy w grudniu z. r. został na dalsze siedmiolecie wybrany prezydentem republiki. To przedłużenie mandatu oddziałało nań, jak legendowy eliksir, przywracający zdrowie i młodość. Jeżeli zresztą przedtem pozwalano sobie od czasu do czasu rozgłaszać na temat niedyspozycyj prezydenta rozmaite bajeczki, to teraz uderzająca czerstwość i rześkość jego osoby wyklucza możliwość podobnych pogłosek.

Złośliwi twierdzą, że i przedtem p. Grévy był równie zdrowy, a jeśli nie miał nic przeciwko alarmom, niezgodnym z rzeczywistym stanem, to skłaniały go do tej powolności względy na fotel prezydjalny. Posądzają go mianowicie o to, że umyślnie udawał chorego, aby szare gęsi gospodarujące we Francji z całą żarłocznością, właściwą tym ptakom i dla tego potrzebujące prezydenta — niedołęgi, napewne utrzymali go na stonowisku. Ale teraz odrzucił maskę chorego, zwłaszcza, że przyboczny jego lekarz skonstatował, iż „jest najzupełniej zdolny do dalszych siedmiu lat służby w charakterze prezydenta.“

Jeszcze bardziej wpadać musi w oczy polityczne i duchowe odmłodzenie się prezydenta. Odkąd drugi raz go obrano naczelnikiem państwa, p. Grévy cieszy się swą władzą zupełniej, niż poprzednio i interesuje się nawet temi sprawami, na które dawniej był zupełnie obojętny.

Zdawałoby się, że urosło w nim poczucie odpowiedzialności. Wpływ jego jest i teraz nie natarczywy, objawia się wszakże na każdym kroku, czy to w polityce kolonialnej, czy w sprawie wydalenia książąt, czy też w licznych innych kwestjach — zawsze czuć rękę Grévy'ego. Dzisiaj nie mogłoby się we Francji stać nic ważnego, przeciw czemu zamanifestowałby on swą niechęć, a ta niechęć wystąpiłaby niezawodnie w formie stanowczego „veto!“

Twierdzą, iż silne rozwinięcie się samoistności u prezydenta przypisać należy coraz bardziej wzrastającemu wpływowi jego zięcia pana Wilsona. Odkąd poślubił pannę Grévy i zamieszkał przy jej rodzicach, stoi ten jegomość niejednemu kością w gardle. Jego gwałtowne ongi wystąpienie przeciwko gabinetowi Ferry'ego dało nawet powód do uwagi, iż sprzecznem jest z przepisami konstytucji, aby zięć prezydenta mieszkał w pałacu Elizejskim. — Wszelakoż pan Grévy oświadczył, iż z chwilą, gdy p. Wilson ustąpi z dawnej siedziby królów i on się usunie także do swego prywatnego mieszkania. Tem oczywiście zamknął usta malkontentom. Ukochana córka i ubóstwiane wnuczęta Grévy'ego stanowią stałą radę gabinetową jego, zięć zaś jest dlań niezbędnym współpracownikiem, a dla Francji wice-prezydentem. On to znacznie się przyczynił do bannicji książąt, a teraz łaskawie opiekuje się Boulangerem.

A propos książąt. Przed godziną widziałem jednego z mych przyjaciół, który właśnie wrócił z Anglji, dokąd jeździł pewnie nie po to jedynie, żeby się ukłonił hrabiemu Paryża. Jako wybitny legitymista, musiał mieć ważniejszy cel podróży. Na pytanie moje o książętach, zmarszczył się, mruknął przez zęby coś gniewnego, wreszcie rzekł:

— I ja i każden człowiek, który trzeźwo pa-

---

4)

MOGENS

przez

J. P. JACOBSENA.

(Z duńskiego).

(**Dokończenie**).

— Doprawdy?

— Czy pan nie wiesz, że Trolle lubią ciemność.

Mogens się uśmiechnął.

— O, pan nie wierzysz w Trolle, ale pan powinieneś w nie wierzyć. To tak przyjemnie wierzyć w cuda i w czary. Ja także wierzę w rusałki i w nimfy... A pan... Co pan myślisz o tem...

— Ja?

— Pan pewnie nie lubisz natury?

— Owszem.

— Ale może nie tę naturę zwykłą, codzienną, jeno tę, która w świątecznej występuje szacie?

— Owszem, lubię także naturę powszednią. Każdy liść, każda gałązka, każdy promyk, każdy cień sprawia mi uciechę. Żadne urwisko nie jest tak nagie, żadne wzgórze tak bezkształtne, żadna droga tak nudna, abym się w niej nie mógł zakochać.

— W takim razie, jakże może pan nie wierzyć w to, że te drzewa, te krzewy mają w sobie żywą istotę, która rozchyla ich liście i otwiera kwiaty; jeśli patrzysz pan na wspienione morze i nie przypuszczasz, aby na dnie pośród raf koralowych, w pałacach z bursztynu i złota i pereł mieszkały istoty, które dziwny wiodą żywot. Nawet wschód słońca nie ma w sobie tyle uroku, ile posiada go wtedy, jeśli w wyobraźni widzi się roje elfów i dziwożonek, co krwawymi promieniami zwabione, wybiegają, aby rozpocząć swe pląsy.

— To prześliczne! I pani to widzisz?

— A pan?

— Ja... ja także napawam się widokami, ale nieraz podrażniony tą wspaniałością natury, zamiast roskosz w niej znajdować, czuję się opuszczony, samotny na wielkim, zimnym świecie.

— Nie, pan powinieneś nie myśleć o zmarłej oblubienicy.

— O, teraz nie myślę o niej..

W chwili gdy to mówił, Wilson i jego mała siostrzyczka powrócili z ogrodu i wszyscy czworo weszli do wnętrza domu.

* * *

Pewnego poranku przechadzał się Mogens z Thyrą po ogrodzie. Mogens wyraził chęć przyjrzenia się w cieplarni winnej latorośli.

Cieplarnia owa był to budynek długi i niski, a o jego szklanny dach odbijały się migotliwe promienie słońca. Weszli do środka; ciepłe wilgotne powietrze przepełnione wonią ziół aromatycznych i wilgotnej ziemi rozlewało się dokoła. Piękne zroszone kwiaty, na które padała jasność słoneczna, zdawały się ich witać z radością.

Thyra patrzyła na nie uszczęśliwiona; Mogens niespokojny spoglądał to na nią, to na zioła.

— Rozumiem teraz — rzekła Thyra — pańskie uwielbienie dla barw i form.

— Więcej pani nie rozumiesz? — zapytał Mogens poważnie.

— Nie — odparła znowu Thyra — a przynajmniej wtedy nie rozumiałam.

— Wtedy!

Mogens przyklasnął i zapytał:

— A teraz?

Podała mu rączkę, a drugą zakryła załzawione oczy. Potem uśmiechnęła się przez łzy i szepnęła:

— Bogu dzięki.

Przez tydzień jeszcze pozostał Mogens. Wesele naznaczono na przyszłe lato.

* * *

W oknach dworu widać światła; wszystkie bramy ubrano festonami; wystrojeni przyjaciele i znajomi gwarem zapełniają komnaty, podczas gdy Mogens odjechał już ze swoją oblubienicą.

Thyra patrzyła na drogę, na wzgórki, na młyn, na Dalumberg i łąki Dalumowe, na torfowiska i pola żytnie, bo z każdem z tych miejsc łączyły się dla niej rozmaite wspomnienia. Mimowoli oczy jej zabłysły łzami. — Od czasu do czasu ukradkiem spojrzała na Mogensa. Siedział zamyślony — nad czem? Alež bo co za osobliwy dzień dla niego? Musiała pożegnać przyjaciół i krewnych i miejsca dla niej drogie, dla tego, aby się z nim wybrać. A on... Czyż był on człowiekiem, któremu można się powierzyć bez obawy. Wszak wszystkim wiadomo, że miał przeszłość pełną wyuzdania i szaleństw. Wprawdzie czuł, że się zmienił i nawet nie mógł już pojąć tej przeszłości, ale człowiek nie może uciec przed sobą samym, a oto w rękach jego spoczywały teraz losy niewinnego dziecka, które on mógł porwać ze sobą w kałużę błota. — Nie, nie! To stać się nie może, jasne, dziewczęce szczęście musi pozostać i nadal jej udziałem. Nad ranem dostali się do dworu zakupionego przez Mogensa.

Thyra patrzyła z zadowolnieniem na nową okolicę, ale była zanadto zmęczona i senna, aby mogła to ukryć. Mogens odprowadził ją aż do jej pokoju, a sam powrócił do parku i wmówił w siebie, że chce oczekiwać wschodu słońca. — Około południa ujrzał znowu Thyrę, wesołą i świeżą; poczęli oglądać swe gniazdko, przyczem Thyra nie mogła się powstrzymać od żywych

trzy przed siebie i rachuje się z okolicznościami, znamy dwa jedyne sposoby dostania się do fortecy, w posiadaniu nieprzyjaciela będącej: Pierwszy polega na ryzykowaniu swojej skóry. Jest to ten, do którego Napoleon I-szy uciekał się raz, lądując we Frépis, a Napoleon III dwa razy, w Boulogne i w Strasburgu. Drugi sposób jest ten, do którego miał upodobanie Filip Macedoński. O pierwszym nie może być mowy, nieprawdaż? Trzeba by wsiąść na koń. Owoż nie widziałeś nigdy zapewne, Filipa VII-go na koniu — i lepiej, zapewne, żeś go nie widział! Książę de Chartres wsiadłby może... Ale nie zdobywa się królestwa *par procuration*. Pozostaje tedy drugi sposób. Ale o tym znowu Ich Kr. Moście nie chcą, aby ktokolwiek mówił, o tyle przynajmniej, o ile ich własna kieszeń mogłaby być narażoną przez jego użycie... A tak! czytałeś onegdaj artykuł Teste'a w *Gaulois*?

— Czytałem o projekcie akcyjnego Towarzystwa dla wydobycia Francji z rąk republikańskich, z kapitałem zakładowym 2,000.000 franków. — I wziąłeś to za koncept żyda Artura Meyera? — A juści! — No to omyliłeś się. Projekt był poprzednio rozbierany w Tunbridge-Wells i w Edymburgu i uzyskał aprobatę. Oto co wymyślili dostojni exulowie od czasu swego wygnania! Jeżeli Francja ma ochotę cieszyć się dobrodziejstwami ich panowania, niech naśladuje akcjonarjuszów pana Lessepsa. Porównanie figuruje w artykule. Byle Ich Kr. Wysokości nie potrzebowały podpisywać akcyj! Ich Kr. Wysokoście potrzebują swych miljonów na co innego. Czytałeś przecież o żywionym przez księcia d'Aumale projekcie nabycia wspaniałego zamku w okolicach Hagi i drugiego w Austrji i trzeciego nie wiem już gdzie. A wszakże aż nad twoją Wisłą podobno dotarli książęcy poszukiwacze pańskich rezydencyj i posiadłości, z zamkami, parkami i polowaniami zaopatrzonemi w zwierzynę! I dziw, że słysząc o tem wszystkiem i o tem wszystkiem tylko od miesiąca, Francja nie dała poznać, przy okazji ostatnich wyborów, swojego oburzenia przeciwko dekretom proskrypcyjnym, że nie zdobyła się na wymowny plebiscyt za osobami tak godnych przedstawicieli monarchicznej idei! Szczęściem Rzeczpospolita sama pracuje dla tych, którzy nie chcą pracować dla siebie, ani dla swej ojczyzny. Ale tymczasem *il n'y a rien à faire*.

Co się tyczy Paryża towarzyskiego, ten należy w całości do Jego Kr. Wysokości, księcia Diaule-Karamoko, syna potężnego afrykańskiego władzcy Uassulusów, z nad wyższego Nigru, który to książęcy młodzieniec obejmuje dziś w posiadanie nadsekwańską stolicę, przybywając pociągiem z Bordeaux. Reszta bowiem żywiołów towarzyskich rozproszona pozostaje w całości po zamiejskich brzegach morskich lub rzecznych.

Paryż literacko-artystyczny nakoniec należy do śpiewaków i śpiewaczek ogródkowych, którzy jednak nie zdobyli się dotąd na żadną z tradycyjnych „pił" każdorocznych. Czyżby i pod tym względem Rzplita była w upadku? Zasługuje wszelako pod poważniejszym literacko-artystycznym względem na ostatni numer ilustrowanego przeglądu *Les lettres de les Arts* (wydawanego przez spadkobierców sławnego Goupil'a) z zamieszczonem w nim, a przez księcia Wł. Czartoryskiego zakomunikowanem studjum o „Kawalerzyście polskim", z rysunkami Juljusza Kossaka. Szkoda, że te ostatnie rysunki, które oglądałem poprzednio w oryginale, nie wypadły dość świetnie w odbitce, pozbywszy się, nie wiem dlaczego, swej koloryzacji. Wogóle przegląd, o którym mowa, nie odpowiada, po roku istnienia, nadziejom, które dawał, ani też wysokiej cenie abonamentowej: 300. fr. za 12 zeszytów!

Z rosyjskich pism.

Z powodu nowego przeznaczenia, jakie otrzymał jenerał pruski von Werder, przez lat 17 sprawujący obowiązki ajenta wojskowego przy poselstwie niemieckim w Petersburgu, *Swiet* pisze:

„Jenerał von Werder zna Rosję tak, jak ją zna niewielu Rosjan. Zna on armję rosyjską tak, jak ją zna bardzo niewielka liczba jenerałów rosyjskich. Jenerał Werder zna nasz dwór z najdrobiazgowszemi jego odcieniami i stosunkami, jak go zna bardzo niewielu dworzan. Przy dworze tym był jak swój w ciągu ostatnich dwunastu lat panowania poprzedniego cesarza. Jenerał Werder rozpoczął swoję działalność w Petersburgu od wyuczenia się języka rosyjskiego i wyuczył się go wybornie. W interesie swojej ajencji wojskowej miał w sferze naszej armji przeróżne znajomości od najstarszych jenerałów aż do młodych oficerów i to głównie pochodzących z prowincyj nadbałtyckich. Był to niezmordowany i wzorowy ajent wojskowy, który tak rzeczy prowadził, że za poprzedniego panowania kilku oficerów niemieckich zostało zaliczonych do różnych broni, a w tej liczbie do pułku preobrażeńskiego i odbywali służbę tak, jak oficerowie rosyjscy, dowodząc oddziałami na ogólnych zasadach. — Przez długi czas za Werdera niemiecka ajencja wojskowa szła tak, jak gdyby ani teraz, ani dawniej nie było granic między Rosją a Niemcami i jak gdyby przyjaźń rosyjska skierowała siły rosyjskie na korzyść Niemiec."

Watykan na dalekim Wschodzie! Wiadomość ta mocno zainteresowała *Mosk. Wiedomosti*. Zamianowanie delegata papieskiego w Pekinie cieszy wzmiankowany dziennik i niepokoi zarazem. Cieszy — bo widzi w tym fakcie dziwne zbliżenie interesów Francji i Rosji i tą samą właśnie ręką, która za jakąkolwiek bądź cenę zbliżeniu temu chciała przeszkodzić, a niepokoi— gdyż w fakcie tym widzi zarodek wpływów Stolicy Apostolskiej na bliższym Wschodzie, tj. w Turcji, ze szkodą dla Rosji.

„Co pobudziło Watykan—piszą *Mosk. Wied.* — do tak stanowczego wystąpienia przeciwko Francji, nawet z widoczną szkodą swoich własnych interesów na Wschodzie? — Widocznie ktoś przyrzekł jakąś korzyść Watykanowi w Europie. *Times* już przepowiedział, że i z protektoratem katolickim w Turcji może się stać to samo, co w Chinach... Ale czy to tylko samych rzymsko-katolickiej wiary wyznawców, podwładnych Papieża, dotyczy owa umowa, godząca dwóch do tak niedawna jeszcze wojujących ze sobą potentatów, księcia Bismarka i Leona XIII? I czy to tylko sam daleki Wschód oddano Watykanowi, wyrugowując stamtąd Francję? — Dla Watykańskiego władzcy byłoby to za mało? Cóż mu po Chinach? Jakież to szczególniejsze korzyści osiągnięte być mogą przez wyrugowanie stamtąd Francji, która służyła tam pokornie wszystkim interesom rzymskiej Kurji? Watykańska polityka nie taka wdzięczna, jak nasza rosyjska,— Za bezcen nic ona nie daje, a niemiecki polityk przywykł już regulować swoje długi na cudzy rachunek. Dla Watykanu najpożądańszą byłaby swoboda działania w sferze wschodniego kościoła na bliższym Wschodzie, w Turcji, aby wyrugować stąd Rosję, a przywódzcy europejskiego koncertu nietylko to nic nie przeszkadza, ale przeciwnie bardzo dogodnie dopomagać watykańskiemu władzcy w jego zamiarach. Austro-Węgry będą torować mu drogę, a Rosja ma podpisywać protokóły,.."

Takie prorocze przypuszczenia snuły *Moskiewskie Wiedomosti* w sobotę; w niedzielę jednak zamieniły się one w pewnik niczem niezbity wobec otrzymanej z Londynu depeszy, donoszącej, że według wiadomości z Rzymu: „Papież otrzymał z Wiednia w dniu 11 b. m. półurzędowe zawiadomienie, zapewniające, że na gasteińskim zjeździe zwrócono uwagę i na położenie Stolicy Apostolskiej". Wiadomość tę *Moskiewskie Wiedomosti* komentują w ten sposób: „W jakiż to sposób rozbierane było w Gastein na zjeździe ministrów niemieckiego i austro-węgierskiego położenie Stolicy Apostolskiej? Rząd niemiecki prowadził ze Stolicą Apostolską zaciętą walkę, znaną pod nazwą „kulturnej". Walka ta niespodzianie ustała i przeciwnicy stali się najszczerszymi przyjaciółmi. Wszystkie katolicko-kościelne spory w Niemczech polubownie załatwione, przyczem Papież poświęcił nawet Polaków; co się tyczy Austro-Węgier, to tam żadnej kwestji co do Stolicy Apostolskiej nie podnoszono. W jakiż sposób, w czem mogli porozumiewać się co do tej kwestji ks. Bismark z hr. Kalnokym? Najpewniej o „ucisku" papiestwa na Wschodzie, gdzie panuje „schyzma"... Doprawdy, brakowało chyba tylko obecności rosyjskiego ministra spraw zagranicznych dla podpisania protokółu o potrzebie okazania pomocy Watykańskiemu Władzcy przeciw schyzmie na Wschodzie! Papież, jak donosi telegram, polecił podziękować komu należy. Może i my otrzymamy podziękowanie?... Propaganda papieska, dzięki „koncertowi". odbywa się już pomyślnie na półwyspie bałkańskim".

KRONIKA.

Dar. Najj. Pan udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Pleszowice, w powiecie przemyskim, na budowę szkoły, zapomogi w kwocie 50 zł.

Mianowania w c. k. armji. Podporucznikami w pułkach galicyjskich mianowani następujący, jeszcze prócz wymienionych w wczorajszym numerze, wychowańcy Akademji wojskowej w Wiener-Neustadt: Leon Bartl, Emil Lanna, Jerzy Schneider, Feliks Rosenauer, Józef Petertil, Maksymiljan Knoll, Ernest Seitle-Seltei, Paweł Dikinson, Rudolf Keil, Stefan Galli, Gustaw Mick, Wilhelm Markart i Ernest Janisch; dalej wychowańcy technicznej Akademji wojskowej w Wiedniu. z oddziału artylerji Alfred Mikuta, Stanisław Worona i Stanisław Knopp; z oddziału inżynierji: Ferdynand Kaltenborn i Michał Żebrowski.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Gorlicach, z grupy większych posiadłości, rozpisany został na dzień 15 września b. r. Wybór ten odbędzie się w mieście powiatowem o godzinie i w lokalnościach, wskazanych w kartach legitymacyjnych, które doręczy wyborcom c. k. starostwo.

Mianowania. C. k. Rada szkolna krajowa zamianowała tymcz. nauczyciela Izydora Piotrowskiego, rzeczywistym nauczycielem szkoły etatowej męskiej w Kołomyi.

Weteran. W Drohowyżu zmarł Onufry Lubicz Sulistrowski, były porucznik wojsk polskich 4. pułku kawalerji, urodzony w Rudcu, wojew. grodzieńskie w r. 1806.

Kardynał Czacki wniósł prośbę do Ojca św. o zainterpelowanie rządu włoskiego, celem zachowania celi św. Stanisława Kostki, zagrożonej z powodu burzenia sąsiedniego kościoła. Ojciec św. wziął podobno do serca prośbę Jego Eminencji i przesłał energiczny protest do władzy municypal-

---

objawów radości i zdziwienia. Następnie naradzali się oboje nad rozmaitymi planami.

Wieczór spędzili w pawilonie ogrodowym. Byłoż tam śmiechu i radości! — Kiedy księżyc przez okna coraz wyraźniej począł ciskać swe światło, powiedział jej Mogens, że musi być zmęczona, żeby się przeto udała na spoczynek, ale mówiąc to, nie puszczał jej z objęć. — Ona znowu nazwała go szkaradnym, twierdząc, że chce się jej już pozbyć, choć dopiero dzień jeden minął, odkąd się oboje pobrali. A potem nastąpiło wesołe pojednanie i nadeszła istotnie późna godzina. Thyra dała się uprosić i odeszła do swego pokoju, Mogens zaś pozostał. — Był bardzo szczęśliwy. A więc istniała miłość, idealna miłość, którą uważał przez długi czas jako nieistniejącą. Z powrotem, w swoim pokoju wziął książkę do ręki, ale nie mógł jej czytać. Przymknął oczy: jak wyraźnie ją widział. Słyszał jej głos, szepcący mu rozkoszne słówko: „Kocham!" Jego myśli dźwięczały rytmicznie i stawały się obrazami.

Następnego wieczora około zachodu słońca przechadzali się oboje po ogrodzie, ramię w ramię. A powietrze wonialo jaśminami i rezedą; motyle migotały skrzydełkami, przepiórki biły w zbożu, szeleściała sukienka Thyry.

— Jak pięknie milczymy! zawołała Thyra.

— A jak dobrze idziemy, odparł młodzieniec, zrobiliśmy przynajmniej milkę.

I znowu milczeli.

— O czem myślisz Mogensie?

— O sobie samym.

— I ja to czynię.

— Ty także myślisz o sobie?

— Nie, o tobie Mogensie, o tobie!

Przyciągnął ją bliżej ku sobie. Poszli ku werandzie, której drzwi stały otworem. Było całkiem jasno, a stół z śnieżnie białem nakryciem, z srebrną zastawą wabił ich do siebie.

— Zupełnie tak, jak w baśni o Jasiu, Małgosi i o piernikowym domku.

— Czy wejdziesz?

— Zapominasz, że wewnątrz mieszka czarownica, która nas, nieszczęśliwe dzieci, upiecze i zje potem. Ale lepiej oprzeć się urokowi okien z cukru i dachu z piernika. Pójdźmy ręka w rękę, w głąb ciemnego lasu.

Szli dalej. Thyra przytulona do Mogensa, tak mówiła:

— Może to także być pałac, Wielkiego Mongoła a ty jesteś pustynnym beduinem, który mnie chce uprowadzić. Albo może...

— Dla czego nie ma być to, co jest rzeczywiście?

— Mogłoby i to być, tylko, że to za mało... Gdybyś wiedział, jak cię kocham.. Ach, jestem nieszczęśliwa... Nie wiem dla czego, jednakowoż między nami taki przedział.

Rzuciła mu się na szyję namiętnie całując go w usta:

Czasami chciałabym, abyś mnie uderzył. To dzieciństwo, ja wiem, ale mimo całego szczęścia, czuję się bardzo nieszczęśliwa.

Złożyła główkę na jego piersi i zapłakała, nucąc przez łzy:

Od tęsknoty
Od tęsknoty ginę.

Mogens nie mógł więcej odpowiedzieć, nad tych kilka słówek:

— Moja droga, mała żoneczko!

Nazajutrz rano wymknęli się znowu do ogrodu. Światło słoneczne rozlało się już po całej ziemi; krople rosy migotały, jak djamenty. Promieniały wcześnie rozbudzone kwiaty, skowronek wywodził głośne swe pienia i jak strzały mknęły w powietrzu jaskółki. Oni oboje szli przez łąkę i wzgórza i rozmawiali, przerywając co chwila swą pogawędkę wesołym śmiechem.

KONIEC.

nej, poparty odpowiednią odezwą do ministerjum robót publicznych.

Jan Dobrowolski, znany w mieście naszem właściciel kawiarni, żołnierz z r. 1863, obywatel, który wspierał szczodrze rozmaite dobroczynne instytucje, zmarł wczoraj.

Wspomnienie pośmiertne. Zmarła w piątek zeszły ś. p. Halina Cieciszowska, rodzona ciotka Henryka Sienkiewicza. przełożona zgromadzenia pp. kanoniczek, należała do najdobroczynniejszych i najpobożniejszych kobiet w Warszawie. Urodzona w Okrzejach, dobrach dziedzicznych jej rodziców, w roku 1816, po otrzymaniu starannej edukacji domowej, wstąpiła do zgromadzenia roku 1855, a po rezygnacji panny Możakowskiej w roku 1875, została wybraną ksienią. Skoligacona z pierwszemi w kraju rodzinami, zmarła odznaczała się niepospolitą inteligencją i pełnem wykwintności obejściem. Zmarła świadczyła liczne jałmużny, to też ubodzy garnęli się do niej. Sprawami zgromadzenia zajmowała się z gorliwością wzorową. Po zamknięciu kościoła znajdowano ją często zatopioną w kontemplacji, zawsze klęczącą na zimnych taflach posadzki. W jednej z chwil takich zaziębiła się i dotknięta od lat wielu nieuleczoną chorobą, żyła w ciągłem przewidywaniu rychłego zgonu, zawsze na chwilę ostatnią gotowa. Śmierć jej nastąpiła po kilkuchwilowych cierpieniach, sprowadzając na spokojny żywot sióstr głęboki smutek. Utraciły w niej najlepszą matkę i przyjaciółkę. Z powodu nieobecności dwóch kanoniczek, znajdujących się zdala od Warszawy, wybór nowej ksieni odbędzie się dopiero za kilka tygodni.

Pogrzeb ś. p. dr. Antoniego Szattauera, dnia 19. b. m. był jednym z owych, na których opinja publiczna manifestuje żywo uznanie dla wiedzy, składa winny hołd cnotom obywatelskim i okazuje wdzięczność za nie.

Powszechna sympatja i rozgłośne imię przedwcześnie, bo w 41 roku życia zmarłego lekarza, i żal ogólny znalazły wyraz w zebraniu się bardzo poważnej liczby publiczności, która przed godziną czwartą zapełniła ulicę Teatralną, plac Kapitulny i znaczną część placu Marjackiego; literalnie przecisnąć się nie było można. Wśród tego ścisku różnobarwnej lecz jednem uczuciem przejętej publiczności słyszeć się dało niejedno błogosławieństwo towarzyszące zmarłemu do grobu, i niejedna gorąca łza stoczyła się po twarzy, co się jeszcze spotęgowało, w chwili, kiedy wyniesiono zwłoki i złożono na karawanie. Kondukt pogrzebowy ruszył wolno wśród nieprzejrzanych tłumów ulicą Teatralną, następnie placem Marjackim i Bernardyńskim na cmentarz Łyczakowski. Przodem postępowała muzyka „Harmonji", a za nią duchowieństwo, za zwłokami zaś z wyrazem głębokiego smutku rodzina zmarłego i krewni. Obok zwłok szedł prezydent miasta, dalej postępowały szeregi składające się z wybitnych osobistości naszego grodu i przybyłych z prowincji dla wzięcia udziału w żałobnym akcie. Pomimo dość wielkiego upału i długiej drogi orszak pogrzebowy prawie wcale się nie uszczuplał; co więcej, na cmentarzu czekała już druga część wprost tu przybyłej publiczności. Kondukt zatrzymał się przed familijnym grobowcem około godziny 5. Po złożeniu zwłok w grobowcu i ostatecznem dokonaniu obrzędu przez księdza proboszcza katedralnego wygłosił dr. Wiktor, lekarz szpitala powszechnego mowę nadgrobną. Mówca wyrażając imieniem kolegów żal serdeczny po stracie tak wcześnie zmarłego kolegi podniósł wysoką jego wiedzę, która była rezultatem niezmordowanej pracy i ciągłego kształcenia się zawodowego, tak jak gdyby zmarły krótkość swojego żywota pragnął powetować zdwojoną usilnością.

Ś. p. Szattauer nie ograniczał się jednakże na wyłączną praktykę lekarską i na studja domowe dla gromadzenia własnych zapasów wiedzy, owszem piórem swojem popierał zarazem wychodzące w kraju pismo fachowe *Wiadomości lekarskie.* Nadto wydawał osobne prace po największej części w języku polskim, a w publikacjach swych starał się być pożytecznym nietylko dla literatury lekarskiej, lecz oraz i słownictwa polskiego, bo zmarły z poczuciem obowiązku swego powołania łączył oraz i miłość wszystkiego co ojczyste. Już jako młodzieniec powstał z ławy szkolnej, ażeby czynnie dowieść miłości ojczyzny, nie zważając wcale na następstwa; a następstwa te przedstawiły się w całej grozie zimnej rzeczywistości, bo powróciwszy znowu do spokojnego życia, do nauki, znalazł zamknięte przed sobą wrota. Władze nie chciały go dopuścić do kontynuowania studjów. Przeszkoda ta dała się dopiero po wielu trudnościach usunąć.

Oprócz patrjotyzmu i głębokiej wiedzy znamionowała ś. p. Szattauera także sumienność w zastosowaniu tej wiedzy.

Był on lekarzem pojmującym należycie swoje szczytne powołanie, a nadto posiadał jeszcze jeden piękny przymiot, który ma największe prawo do niewygasłej pamięci i wdzięczności, a tym przymiotem była właśnie uczynność, której dowodem bezinteresowne sprawowanie obowiązków lekarskich przy szpitalu ubogich dzieci w zakładzie św. Zofji, jakoteż i wielu innym cierpiącym bezinteresownie niesiona pomoc.

Rzewna przemowa wywołała w otaczających mówcę silne wzruszenie, a głośne łkanie było najwymowniejszem świadectwem, że ś. p. Szattauer w czasie niedługiego szeregu lat swej działalności umiał żyć i skarbić sobie wdzięczność.

Na grobie złożono około 20 wieńców. Prócz wieńców od rodziny, krewnych, kolegów i osobistych przyjaciół zmarłego widzieliśmy też wieńce: od Rady miasta Lwowa, Towarzystwa lekarzy galicyjskich, redakcji *Wiadomości lekarskich,* od szpitala ubogich dzieci zakładu św. Zofji, a nawet z prowincji z Czortkowa od przyjaciół i od komitetu kolonji leczniczej w Rymanowie.

Zmowa. W okolicy Pragi, Lieben i Holeszowiec w Czechach, zawiesiło roboty 400 białoskórników, ponieważ właściciele fabryk nie chcą podwyższyć im płacy o 2 zł. tygodniowo i pozwolić na dwugodzinną południową pauzę.

Ucieczka więźnia. Józef Markiewicz zwany także Markowskim, rodem ze Lwowa, liczący lat 18, odsiadujący za kradzież dwuletnie więzienie w tutejszym zakładzie karnym, zbiegł wczoraj z wojskowego magazynu na Janowskiem, gdzie był zatrudniony, ale wkrótce został przez straż więzienną schwytany.

Sport. Niedzielne wyścigi (szóste z rzędu) w Carskiem Siole, były nadzwyczaj interesujące z powodu, że w jednej z gonitw o nagrodę cesarską 4000 rubli, w rzędzie pięciu ubiegających się koni, stanęły trzy najlepsze trzylatki, a mianowicie: „Baronet" hr. L. Krasińskiego, „Kordecki" L. Grabowskiego i „Arconia" J. Niemcewicza. Zwycięzcą został „Baronet", „Kordecki" przyszedł do mety drugi.

Mniej szczęśliwym za to był bieg trzywiorstowy o nagrodę 1100 rubli dla koni 4-letnich i starszych, gdyż „Highland" hr. L. Krasińskiego pokonany został przez ogiera „Kiń-Grust" pana Ilienki.

Potwór. W miasteczku Stoczki, powiatu łukowskiego, mieszczanka Marjanna S. powiła w dniu 14 b. m. niemowlę płci męskiej o dwóch głowach i z trzema rękami, z których jedna znajdował się na lewem ramieniu, koło szyi. Dziecię żyło zaledwie pięć godzin. — Obecnie znajduje się u naczelnika powiatu, zachowane w spirytusie, i niebawem ma być nadesłane do gabinetu anatomicznego w Warszawie.

Numera cesarskie na loterji. Pewien amator gry loteryjnej, poświęcający cały swój starokawalerski czas wynajdywaniu kombinacyj, zauważył, że podczas ostatniego ciągnienia na loterji lwowskiej, które odbyło się w dzień urodzin cesarskich, wyszły trzy numera, mające związek z tą uroczystością. Mianowicie wyciągnięto numera: 56 (lata cesarza), 30 (rok urodzenia 1830), 48 (rok wstąpienia na tron 1848). Niestety, nawet najdoświadczeńsi „loteryjnicy" nie połapali się i stawiali tylko pojedyncze numera, wygrywając „extracta", a wypuszczając z ręki pełne secoterno.

„**Skała**" kat. Stowarzyszenie rękodzielników urządza w dniu 22 sierpnia b. r. Zabawę towarzyską w ogrodzie własnym przy ul. Mickiewicza l. 28.

Mały Fejleton.

Parafjanka.

— Więc w istocie jesteś pani kochanką mego męża — spytała Cecylja de Marriac.

Baronowa Curtisoer zakłopotała się nieco. Próbowała okrasić twarz uśmiechem i rzekła:

— Wybierasz pani zbyt silne wyrażenia. Zresztą, ponieważ posiadasz moje listy w ręce, więc byłoby daremną rzeczą, wypierać się... Tak! Nie byłam nieczuła na uprzejmość i zabiegi pana de Marriac. Ale czyż nie jesteśmy wszyscy ludźmi? I czy ma to być wystarczający powód, abyś pani do mnie wpadła tak gwałtownie i abyś odtrącwszy pokojówkę, przyszła mi tu prawić kazanie. Czyż wyrządziłam pani krzywdę? Czy możesz powiedzieć, że ufałaś pani mężowi? Jeśli nie na mnie, to na inną z przyjaciółek byłoby padło jego oko i z pewnością nikt nie zaręczy pani, czy nie byłby on zawiązał stosunku np. z małą baletniczką, obok której widzianoby go w teatrze lub w Orfeum. Przezemnie oszczędziłaś pani sobie tych przykrych upokorzeń i jeśli dobrze zważymy, to jesteś mi pani winna wdzięczność za to. bo tylko z powodu tego stosunku mąż twój nie wchodził w towarzystwa kompromitujące. Kobieta światowa wszystko zniesć potrafi z wyjątkiem jednej myśli, tej mianowicie, iż mąż, który nosi to samo nazwisko co ona, zawiera znajomości jego i jej niegodne. Więc porzuć pani ów ton surowy i pełen goryczy. Jeśli rzeczywiście zapatrujesz się na tę sprawę z tak poważnego stanowiska, to gotowa jestem natychmiast zerwać z panem de Marriac. Każę mu powiedzieć, że odjechałam i nie będę przyjmywała jego odwiedzin. Widzisz pani: jestem gotowa do wszelkich ustępstw. Ależ uspokój się już raz pani. Z powodu tej drobnostki nie przestaniemy być dobremi przyjaciółkami. Podajże mi pani twoję rękę.... Co to? Dla czego jesteś tak blada? Może czujesz się pani chora?.... Posłuchajże.... Podajmy sobie dłonie... a ponieważ przyszłaś pani tak wcześnie (wszak jestto zaledwie dwunasta?) więc może zjemy razem śniadanie?

— Tak sądzisz baronowo? — rzekła Cecylja de Marriac.

Skrzyżowała ramiona, i posępnie spojrzała na baronowę, wcale nie poruszając powiek.

* * *

Pani de Marriac była to młoda, prześliczna kobieta. Miała wielkie czarne oczy, które zawsze prosto patrzyły; oczy, które teraz błyszczały gniewem, ale które umiały także promienieć radością. Patrząc na nią w jej smukłą, lecz nie mizerną postać, na pogodne spojrzenie, gustowną, ale skromną toaletę, miało się przed sobą obraz duchowo i fizycznie pięknej kobiety. Nie było w niej widać żadnych oznak słabości, ani fałszu.

Baronowa wyglądała obok niej jak lalka wystrojona i przeznaczona dla tomboli na cel dobroczynny; filigranowa ta osóbka, pokryta koronkami, miała policzki zabarwione blanszem, brwi węglem, a usta karminem...

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, spoczywała teraz niedbale w fotelu.

— Może każesz sobie co podać dla orzeźwienia się, moja droga?

— Tak, szklankę wody!

Baronowa zadzwoniła i natychmiast okazała się pokojówka z tacką, na której niosła karafkę i dwie szklanki z przedniego szkła weneckiego. Pani Marriac nalała sobie wody, dobyła z zanadrza małą flaszeczkę, i upuściła do wody kilka kropel zawartego w niej płynu.

Baronowa patrzyła na nią ze zdziwieniem.

— Co to?

— Likier, którego używam za poradą lekarza dla uspokojenia nerwów.

— Ja także cierpię na nerwy.

— Och, tobie, baronowo nic nie pomógłby ten środek. Mamy odmienne temperamenty.

Teraz pani Marriac także usiadła i poczęła opowiadać przytłumionym głosem.

* * *

„Muszę ci wyznać jednę rzecz, pani baronowo; może to dziwne, ale ja kocham męża. Wychowałam się w klasztorze na prowincji; młodych dziewcząt nie uczą tam wprawdzie kotyljona, ale natomiast wpajają im w umysł, iż kobieta ma wybór jedynie pomiędzy miłością Boga i miłością mężczyzny. Ja wybrałam tę drugą. Po drugą. Matka przedstawiła mi pana de Marriac i zostałam jego żoną. Nie wahałem się ani chwili z ofiarowaniem mu takiej miłości, do której byłam zobowiązaną wedle własnego sumienia. Nie kochałam go jednakowoż miłością zimną, obowiązkową, posłuszną; przywiązałam się do niego z całą namiętnością na jaką stać młodą kobietę. Tak przeszły nam trzy najpiękniejsze lata życia. Mieszkaliśmy na wsi w starym dworze, sami, a przynajmniej prawie sami. Jak szybko czas nam mijał, kiedy siedzieliśmy obok siebie, ściskając się za ręce..

Obawiam się że mnie nie zrozumiesz pani baronowo. Kochaliśmy się wzajemnie, zupełnie jak prości ludzie z prowincji. Gdy mąż mój wyjechał na łowy, doglądałam kuchni i gospodarstwa, pamiętałam zawsze, aby nie zabrakło wina, które lubiał. Czasami dawaliśmy, małe przyjęcie dla naszych sąsiadów, przyczem znajdywano, iż z gracją wypełniam obowiązki gospodyni domu. Kiedyśmy potem znowu pozostawali sami, to uczuliśmy się niewymownie szczęśliwi.

Często całemi godzinami staliśmy w oknie patrząc na gwiazdy. Na gwiazdy? Nie... On spoziérał w moje, a ja w jego oczy, to sprawiało nam niewymowną rozkosz. A potem całowaliśmy się... Nienawidzę ciebie, pani baronowo, aby życzyłabym sobie, abyś te pocałunki poznała... W niedzielę bywaliśmy razem w kościele, z trudnością doprowadzałam do tego, że mąż mój nie zaniedbywał przepisów religji. Mieliśmy w kościele nieopodal wielkiego ołtarza jednę ławkę i tylko z jednej modliliśmy się książki. Byłam bardzo szczęśliwa!... Później musieliśmy się przenieść do Paryża, a stanowisko męża wymagało, abym bywała w świecie.

Muszę wyrazić moje zdziwienie pani baronowo z tego powodu, że towarzystwo pani było także mojem towarzystwem i że pani stoisz w oczach ludzi, którzy nas pozdrawiają, na jednym stopniu ze mną... Pewnego dnia przyjęłam cię w moim domu i jeśli się nie mylę, przyjęłam także zaproszenie do twojego. Już wtedy mówiło mi smutne przeczucie, że przez ciebie postradam szczęście. Pośrodku gwarnych uciech tego życia myślałam ciągle o wiejskim dworze, gdzie radość panowała tak szczera i prawdziwa, gdzie serca tak były lekkie i wolne. Potem stałaś się pani ideałem mego męża, bo jesteś piękna, podczas gdy ja tylko przystojna. Zrabowałaś mi pani całe szczęście, całą moję przeszłość i przyszłość — całe życie... Czy sądzisz, że mogę o tem

Wstęp tylko za zaproszeniami, które otrzymać można w Stowarzyszeniu. Lista otwarta.

Odpust w Częstochowie. Tegoroczny odpust w Częstochowie zgromadził na Jasnej Górze około 30.000 pielgrzymów z Królestwa w 30 partjach. Z Galicji były dwie partje 100 ludzi. Nadto była jedna partja z Morawji i jedna ze Szląska. Powszechną uwagę zwracało 17 Francuzów, którzy przybyli z pobudek religijnych i kilku angielskich turystów.

Pożar. Wczoraj popołudniu zaalarmował miastu sygnał pożarowy, oznajmiający że pali się w drugiej dzielnicy miasta. Częste uderzenia dzwonu kazały przypuszczać że pożar szerzy się w sposób nader groźny. Wkrótce wyruszył tren straży pożarnej, a za nim ogromne mnóstwo ludu. Pierwsze sikawki wyjechały w kierunku ulicy Janowskiej, w przypuszczeniu, że palą się znowu owe słynne szopy w których spaliło się w kwietniu kilkanaście ludzi. Fakt ten jest wielce charakterystyczny! Dopiero następne sikawki popędziły w kierunku ulicy Sykstuskiej. Paliło się w ulicy Mydlarkiej, która jest właściwie zaułkiem, bez wyjścia.

Ze względów policji ogniowej byłoby temu zaułkowi, wiele do zarzucenia. W pośrodku wielkich kamienic trzypiętrowych, zbito obok siebie ustawionych, mieści się kilka budyneczków niskich, w których dniem i nocą pracuje ogień. Są tam bowiem obok siebie: piekarnia, warstat ślusarski i fabryka wody sodowej, rozgraniczone podwórcem wcale nie obszernem, a zarzuconem kupami paliwa. Dodajmy, że na podwórzu jest tylko jedna studnia pompowa, dodajmy że przystęp do tego podwórza jest bardzo utrudniony a będziemy mieli pojęcie o bezpieczeństwie i spokoju jakiego używają mieszkańcy sąsiednich budynków... A jeszcze podnieść należy iż pomimo, że w tej realności jest jak „na wulkanie" najnowsze przepisy ogniowe magistratu są tam nieszczególnie przestrzegane. Właśnie zaniedbanie ich wykonania przyczyniło się do wczorajszego pożaru. Parobek z Piekarni pana Bieleckiego, poszedł popołudniu na strych w szopie, w której mieści się stajnia dla koni, i z „papierosem" w ustach położył się spać — na sianie. A świeżo przecież tyle było hałasu o to, aby na strychach nie trzymano siana i słomy ani żadnych podobnych materjałów palnych! Oczywista pożar musiał wybuchnąć, bo parobek znużony pracą od świtu, usnął wkrótce, a tlące cygareto upadło w słomę. Zauważyć należy iż cudem jakimś stało się, że dopiero wczoraj ogień miał miejsce. Tam powinno było palić się zaraz tego samego dnia kiedy na strych dano słomę, a zarazem postawiono łóżka dla parobków!

Pożar wczorajszy ugaszono wkrótce, albowiem czeladź z pracowni ślusarskiej pana Michalskiego, rzuciła się do ratunku z niezwykłą energją, natchnioną widocznie grozą położenia. Kiedy straż pożarna przybyła ogień był już prawie zlokalizowany. W kilku minutach zerwano dach blaszany i zalano płomienie buchające ze stosów słomy i siana.

Parobek, który przyczynił się do wybuchu pożaru uciekł ze stajni i z domu. Policja rozpoczęła za nim w tej chwili poszukiwania.

Na miejscu pożaru był p. prezydent miasta. Z powodu ogromnego zbiegowiska ludu musiano wezwać wojsko, które utrzymywało porządek.

Fatalny wypadek. W Zakopanem podczas wycieczki na Czerwony Werch, dnia 18 b. m. spadł z urwiska ś. p. Józef Biesiadecki, młodzieniec 16-letni, uczeń VI klasy gimnazjalnej, syn powszechnie znanego protomedyka dr. Alfreda Biesiadeckiego. W chwili, kiedy fatalny wypadek miał miejsce w Zakopanem, nieszczęśliwy ojciec bawił we Lwowie i był właśnie na objedzie u p. Namiestnika, wydanym z powodu urodzin cesarskich. Zawiadomiono go o nieszczęściu w sposób nader przezorny. Pierwszy telegram, który doszedł rąk ojca w pałacu namiestnikowskim, opiewał: „Józef bardzo chory — przyjazd bez zwłoki konieczny". — W półgodziny nadszedł drugi telegram o treści jeszcze bardziej niepokojącej stroskanego ojca. Opiewał: „Wielkie niebezpieczeństwo życia". Treść ta kazała przygotować się na wszystko. Jakoż w istocie — w kilkanaście minut później doręczono dr. Biesiadeckiemu trzecią depeszę, w której opisany był dokładnie cały wypadek i mieściło się doniesienie, że śmierć nastąpiła na miejscu.

Dotknięty tak bolesnym a niespodziewanym ciosem ojciec udał się natychmiast na miejsce fatalnego wypadku. Z wszystkich sfer towarzystwa wysłano do Zakopanego liczne telegramy kondolencyjne, wyrażające strapionemu ojcu głębokie współczucie w nieszczęściu, które go dotknęło:

Nasza redakcja otrzymała wczoraj popołudniu już po wydaniu numeru następującą depeszę:

„Józef Biesiadecki, syn protomedyka, gimnazjalista, spadłszy wczoraj w turniach Świstówki nad Małą-łąką w Tatrach, zabił się na miejscu".

Siostry Wołowskie. Jedno z pism berlińskich, objaśniając genezę jedynego może przekładu na język francuski własnego wiersza, jakiego dokonał Göthe, poświęca kilka słów wspomnienia rodaczkom naszym, siostrom Wołowskim, które w roku 1823 urodą swoją zwracały powszechną uwagę podczas sezonu w Karlsbadzie i Marjenbadzie. Jedna z nich, Kazimira, posiadała niepospolity talent muzyczny i artystyczną grą swoją przyczyniła się niemało do urozmaicenia sezonu.

Wokoło uroczych Polek zgromadził się kwiat kąpielowego towarzystwa, a między innymi i ów hr. Teodor Rostopczyn, który się tak wsławił podczas kampanji Napoleona. — Pewnego dnia piękna Kazimira poprosiła hr. Rostopczyna, żeby jej się wpisał do imiennika, a hrabia z całą gotowością napisał po francusku co następuje:

Testament
czyli pierwsza i ostatnia wola młodej osoby,
którą przekonano, że ma umrzeć.

1. Będąc doprowadzoną do ostateczności przez zbytek zdrowia, i czując panią Śmierć, zbliżającą się do mego łóżka, na którem sypiam spokojnie, dyktuję wolę moję, mianując jej egzekutorami na tym świecie pana Rossiniego, na tamtym zaś pana Händla (sic). — 2. Zapisuję rozum mój pierwszej młodej osobie, która go utraci. — 3. Duszę samolubom. — 4. Serce bogaczom. — 5. Przyjaźń siostrze i jej dzieciom. — 6. Oczy młodym osobom, na które nikt nie zwraca uwagi. — 7. Zęby kobietom brzydkim jak straszydła. — 8. Cerę Albinosom. — 9. Postawę moję sierotom. — 10. Spojrzenie nieszczęśliwym matkom, błagającym o łaskę dla swych dzieci. — 11. Kubek, z którego piłam wody w Karlsbadzie, pierwszemu królowi, jaki doń zawita. — Podpisuję po raz ostatni moje nazwisko: Kazimira Wołowska. — Tożsamość podpisu (sic) stwierdza Teodor hr. Rostopczyn. — Dnia 19 lipca 1823. Na przylądku Dobrej nadziei.

Poniżej Rostopczyn dodał:

Epitaphe.
De l'idéal ci-gît l'unique image,
Ornement et délices de nos jours.
De la beauté Vénus brisa l'ouvrage
Pour faire révénir les Amours.

Wkrótce potem siostry Wołowskie udały się do Marjenbadu, gdzie zaznajomiły się z twórcą „Fausta", a uproszony przez p. Kazimirę również o wpisanie się do imiennika Göthe, gdy przeczytał powyższy testament hr. Rostopczyna, dodał następujący wiersz:

An Fräulein Casimira Wołowska.
Dein Testament vertheilt die holden Gaben,
Womit Natur Dich mütterlich vollendet:
Vermächtniss auf Vermächtniss ausgespendet,
Zufrieden jedes nur ein Theil zu haben:
Doch, wenn Du Glückliche zu machen trachtest,
So wär' es der, dem Du Dich ganz vermachtest.
Marienbad den 18. August 1823.
Göthe.

(Testament Twój rozdziela różne świetne dary,
Coś wzięła od natury dla duszy twej i serca —
Każdy w legacie Twoim zgaduje zamiary,
Każdy zadowolniony z darów spadkobierca;
Jednak, gdybyś szczęśliwym zrobić kogoś chciała,
Trzebaby, byś mu siebie całą zapisała.)

Panna Kazimira, uszczęśliwiona autografem wielkiego poety, dziękując mu, wyznała wszakże zawstydzona, że nie zna języka niemieckiego i nie rozumie pięknych wierszy. — Göthe uśmiechnął się i przyrzekł przetłumaczyć je na język francuski, dodając „C'est une exception unique en votre faveur (jestto jedyny wyjątek na cześć Pani)." Jakoż nazajutrz przyniósł pięknej Polce własnoręcznie napisane tłumaczenie:

Ton testament distribue les dons précieux,
Dont la nature perfectionna ton être.
Lègues sur lègues généreusement désignés,
Chacun est très content du lot, qui lui est échu.
Mais si c'était l'intention de rendre heureux,
Celui le serait, à qui Tu voudrais léguer l'ensemble.
M. B. le 19. Août 1823.
Göthe.

Podczas manewrów odbywać się będą audjencje i przyjęcia obywateli; dany będzie także i obiad, na który otrzymają zaproszenie tylko nieliczni obywatele, podobno w liczbie 25, a to z powodu braku miejsca w głównej kwaterze w Lubieniu, majętności bar. Brunickiego. Pobyt jednak w każdym razie będzie miał charakter wyłącznie wojskowy. — NPan nie odwiedzi ani Lwowa, ani Krakowa, ani Stryja; cały czas poświęci sprawom wojskowym, a czas ten jest ściśle wymierzony, gdy monarcha musi wprost — nie zatrzymując się nawet w Wiedniu — podążyć stąd na ćwiczenia wojskowe do Tyrolu. Cesarz przybędzie 6 września do Lubienia. Przy obrotach pierwszych dni czterech nie będzie obecnym następca tronu, który dopiero czwartego dnia połączy się z ojcem; również oficerowie zagraniczni przybędą czwartego dnia.

Arcyksiążę Albrecht zamieszka w majątku Jana Aleksandra hr. Fredry, a udział w manewrach wezmą także arcyksiążę Wilhelm i arcyksiążę Rajner, naczelny dowódzca obrony krajowej.

Między innymi z polecenia cesarza przyłączonym będzie do jego osoby młody Andrzej hr. Potocki, który pełnił jednoroczną służbę, a obecnie jest *attaché* przy ambasadzie paryskiej. — NPan zabawi w Lubieniu do 15 września, a w dniu tym zwiedzi roboty forteczne około Przemyśla i wieczorem pospieszy przez Kraków wprost do Tyrolu. — Zdaje się jednak, że przyjęcia na dworcach nie będą wykluczone.

Z pruskich rugów. W tych dniach przybyła do Warszawy rodzina S., którą dekret banicyjny dotknął w szczególniejszych warunkach. Pan S. jest synem Niemca, który przed czterdziestu laty będąc właścicielem fabryki w Łodzi, przyjął dla formy poddaństwo rosyjskie, a następnie, dorobiwszy się fortuny, jako prawowity Niemiec wrócił do Berlina, ale już za paszportem tutejszym, na którym figurował także pięcioletni syn. Owym pięcioletnim synem był pan S., który następnie skończył szkoły berlińskie, służył w wojsku, ożenił się, miał czworo dzieci, a w końcu brał czynny udział w ostatniej wojnie francusko-pruskiej, gdzie ciężko ranny, otrzymał krzyż za waleczność.

W takich warunkach p. S., jako protestant, obywatel i b. wojskowy, mieszkał w Berlinie, nie myśląc nawet, ażeby dekret banicyjny kiedykolwiek mógł być zastosowanym do niego. Tymczasem pewnego pięknego poranku p. S. otrzymał wezwanie do policji, gdzie oznajmiono mu, że ponieważ „jest Polakiem", więc musi opuścić granice Niemiec. Zagadnięty w ten sposób p. S. tłómaczył się, że Polakiem nigdy nie był, że nawet języka polskiego nie zna, że będąc małem dzieckiem opuścił z ojcem Łódź i wreszcie powoływał się na swoje zasługi, jakie położył jako żołnierz dla Niemiec. Wszystko to bardzo dobrze przyjęto, ale w rezultacie oznajmione stanowczo, że jeżeli w oznaczonym terminie nie opuści Berlina, to pod eskortą odstawionym będzie do granicy. Na takie *dictum* nowo kreowany „Polak" zmuszonym był zlikwidować swoje interesa, a zabrawszy żonę i dzieci przyjechał do Warszawy, gdzie otrzymawszy posadę prywatną najuroczyściej przyrzeka, że jakkolwiek zmuszony, ale będzie „dobrym Polakiem" i wymyśla na Prusaków, a przedewszystkiem tak sam, jak żona i dzieci uczą się polskiej mowy, do czego przyjęto nauczycielkę i nauczyciela. Tak więc ostatni pomysł żelaznego księcia przysporzył nam kilku obywateli, którym niedawno ani śniło się być ludźmi polskiego pochodzenia.

Cudowne ocalenie. Z Amsterdamu piszą: W Scheveningen zdarzył się dziwny wypadek. W jednym z mniejszych hoteli zakwaterował cudzoziemiec, którego do Scheveningen przysłał konsulat niederlandzki w Londynie, gdzie go dostawił pewien angielski statek przybywający z Melbourne w Australji. Załoga owego okrętu znalazła go prawie już umierającego, walczącego z falami oceanu. Siedział na odłamku drzewa. Wyłowiono go jak rybę. Nie chciał z razu nic mówić. Po kilku tygodniach starannej opieki znaleziony miał się wcale dobrze i można było wydobyć z niego, iż posiada znajomości w Scheveningen. Dalsze badania wykryły że jest

---

zapomnieć? Przebaczyć potrafię, ale nie zapomnieć. Przez panią straciłam nadzieję, aby kiedy znowu mogła powrócić pogoda myśli, która nam opromieniała szczęście małżeńskie. Tobie, pani, zawdzięczam, że już nigdy nie przytulę się do mego męża, patrząc na pogodną noc gwieździstą. I już nigdy nie będę mogła pójść z nim do kościoła, bo musiałabym prosić Boga, aby go ukarał. A wszystko dlatego, że masz pani zręczną modystkę i że posypujesz nagle ramiona pudrem, który potem znajduję na rękawach mego męża... Prawda, pani ofiarujesz mi przyjaźń i ponieważ to wcześnie — choć ja, parafjanka o tej porze jestem zwykle już od sześciu godzin na nogach, — zapraszasz mnie do odnowienia przyjaźni przy śniadanku. O, doprawdy pani jesteś bardzo uprzejma! Szkoda tylko, że mnie ta propozycja nie przypada do gustu.

* * *

Mówiła to wszystko łagodnym tonem: ale nagle pobladła i oczy jej przybrały wyraz takiego cierpienia, iż baronowa poczęła się naprawdę niepokoić.

Odsunąwszy nieco swój fotel, spytała:

— Jakąż pani zamierzasz wywrzeć na mnie zemstę?

Pani de Marriac nie dała odpowiedzi. Zacisnęła kurczowo ręce i przygryzła usta tak silnie, że aż krew z nich wystąpiła.

— Ach, wiem już, co chcesz pani zrobić, zawołała baronowa; wyjawisz wszystko memu mężowi, wyjawisz całemu światu, aby zniszczyć cześć mego nazwiska.

Blada jak alabaster, pani de Marriac przecząco skinęła głową.

— Więc chcesz mnie pani zabić? szepnęła baronowa, drżąc od trwogi. Och, to okropne!

— To także nie miałoby celu, oparła pani de Marriac, bo gdybyś nawet spoczęła w grobie, zabierzesz pani jego pocałunki na swych ustach.

— Mój Boże, więc co pani zamyślasz uczynić?

— Umrzeć!

Wyszeptawszy to słowo pani de Marriac bezwładnie zsunęła się z fotelu na ziemię.

Likier, który wlała do wody, był trucizną.

Catulle Mendès.

synem pewnej wdowy mieszkającej w Haadze. Niedotrzymywała ona już długi czas od swego syna, żonatego, bogatego kupca w Melbourne żadnych listów. W Melbourne myślano, że syn jej utonął, bo zwykł był kąpać się w morzu i pewnego dnia nagle zniknął. Uratowany tymczasem, niejaki G. H, odzyskał obecnie zdrowie do tyla, że może dać niektóre bliższe objaśnienia swojej niezwykłej wędrówki na morzu. Oto przypomina sobie, że pewnego dnia w Portville, w zatoce pod Melbourne kąpał się jak zwykle, gdy nagle schwycił go kurcz w nodze. Fale go uniosły a on w rozpaczliwym wisułku uczepił się jakiejś belki nadpływającej jak deska zbawienia ku niemu. Jak długo błąkał się po morzu na tej belce, tego określić nie umie. Przypomina sobie dokładnie to tylko, że żar słoneczny dokuczał mu okropnie i w końcu musiał uledz udarowi słonecznemu, bo go zmysły całkiem opuściły. Obecnie wszelkie niebezpieczeństwo dla umysłu tego tak cudownie ocalonego wędrowca usunięte zostało, a dr. Mandele, który ma go w lekarskiej opiece spodziewa się całkiem niezawodnie uratować go i zrobić z niego znowu człowieka. Wdowa H. nieposiada się z radości, że w ten sposób odzyskała syna. Małżonkę uratowanego pozostałą w Melbourne uwiadomiono natychmiast telegraficznie o cudownem ocaleniu jej męża.

Wiadomości policyjne.

Skradziono: srebrne djamentowe kółczyki wartości 40 zł., za którąto kradzież jest poszukiwany Mojżesz Schwarz z Jarosławia, liczący lat 20, który miał zamiar emigrować do Ameryki; konia kasztanowatego i klacz takiej samej maści, krajowej rasy, wartości 29 zł., z pastwiska koło Janowskiej rogatki; kufer z bielizną, znaczoną W. K., E. K. i K. K., z wozu między Siedliskami a Krotoszynem.

Zgubiono: pugilares żółty z banknotem na 50 zł., z biletami wizytowemi Bronisława Kopystyńskiego i z fotografją; zastawnicą kartkę banku ruskiego do l. 14.497 na srebrny regarek remontoar za 4 zł. zastawiony.

Znaleziono: sztukę czerwonego drelichu w ogrodzie pod l. 2 na Gabrjelówce ukrytą; mały kluczyk z dziurką, od stolika, na ulicy Wałowej; kalesony na ulicy Skarbkowskiej, książeczkę notatkową z podpisem Fryderyka Ehrbara.

Zakwestjonowano: krótki kożuszek z białych baranów, niepokryty, mało noszony.

Łoszę karogniade przytrzymano jako zbłąkane na targowicy końskiej.

Telegramy „Przeglądu".

Buda-Peszt 20 sierpnia. Na wczorajszem posiedzeniu Związku Saskiego w Kronstacie zaznaczył poseł Zay w mowie przyjętej frenetycznemi oklaskami, iż każdy kto żyje na węgierskiej ziemi, musi wysoko cenić węgierską ideę państwową i kochać ojczyznę.

Petersburg 20 sierpnia. Z powodu cerkiewnego święta Preobrażeńskiego pułku gwardji i artylerji gwardyjskiej, jakoteż z powodu urodzin cesarza austrjackiego, odbył się, jak donosi *Prawit. Wiest.*, u cesarstwa w Krasnem Siole galowy obiad, na który zaproszono także personal austrjackiej ambasady i zagranicznych oficerów, którzy bawią na manewrach. Car i w. książęta mieli na sobie wstęgi austrjackich orderów.

Przy obiedzie siedział ambasador austrjacki po lewej ręce carowej. Kiedy car wzniósł toast na cześć cesarza austrjackiego, zaintonowała muzyka hymn austrjacki. Razem z zagranicznymi oficerami przedstawili się carowi w środę także Aleksy i Bożydar Karageorgewicze.

Rzym 20. sierpnia. Wczoraj podpisał msgr. Jakobini i prywatny sekretarz ks. Czarnogórskiego, konwencję zawartą między Watykanem a Czarnogórą.

Londyn 20. sierpnia. Posiedzenie Izby lordów. Salisbury sądzi, że co do ustawodawstwa irlandzkiego postępować trzeba drogą badań i ankiety.

Do utrzymania socjalnego porządku zwykłe ustawy powinny wystarczać, a gdyby nie wystarczały, to rząd chwyci się innych środków.

Na zgromadzeniu konserwatystów powiedział Iddesleigh, że wewnętrzne sprawy wynikają z spraw zewnętrznych; obydwa te działy spraw należy przeto normować roztropnemi zasadami, a mianowicie popieraniem angielskich interesów z jednej, a uwzględnianiem wymagań innych ludów z drugiej strony.

Chicago 20 sierpnia. Zgromadzenie Irlandczyków przyjęło rezolucję, w której dziękuje Gladstonowi i demokratom angielskim za ich trudy poniesione na cel autonomji irlandzkiej. Redmond oświadczył, iż polityka irlandzka będzie na przyszłość polityką walki, ponieważ Salisbury ma wznowić środki przymusowe.

Londyn 20 sierpnia. Mowa tronowa, którą zagajono parlament, wcale nie wspomina o zewnętrznych stosunkach. Powiada ona, że ostatnie wybory potwierdzają uchwały poprzedniego parlamentu co do rządu irlandzkiego. Rząd wniesie budżet i przedłożenia kredytowe poprzedniego rządu. Ponieważ parlament zebrał się teraz w czasie dla feryj zwykle przeznaczonych, więc rząd ograniczy się do przedłożenia kilku żywotnych zarządzeń względem prowadzenia państwowej służby przez resztę roku finansowego.

Posiedzenie Izby lordów. W ciągu debaty nad adresem, wystąpił Salisbury z komentarzami mowy tronowej. Co do spraw zewnętrznych i kolonij należy przypomnieć sobie mowę tronową z przed sześciu miesięcy. Nie upłynęło odtąd tyle czasu, aby potrzebne były nowe wyjaśnienia. Co do kwestji Birmańskiej sytuacja nie jest dość zadowalniająca, ale nie może dawać powodu do żadnych obaw. Skoro tylko przeminie nadmierna spiekota, zostaną zarządzone inne środki. Rząd spodziewa się przywrócić spokój. Co się tycze sprawy afgańskich granic, która z powodu niezupełnie należytego stanu budzi pewne troski, wycofaliśmy — powiada Salisbury — komisję z powodu kwestji powstałej między nami i rządem rosyjskim.

Kwestja ta, zresztą dość doniosła, nie ma jednak znaczenia pod względem terytorjalnych naszych wymagań. Ponieważ zasięgnięte w tym kierunku informacje są zupełne, a rokowania mogą się tak samo dobrze toczyć między Petersburgiem i Londynem, jak w pustyni, gdzie dokonywano odgraniczenia, więc byłoby rzeczą niestosowną podczas zimy wystawiać angielskich oficerów i żołnierzy na srogość klimatu. Zachodzi tu zresztą niemożliwość, gdyż nawet przy najlepszych chęciach ze strony Rosjan i Afgańczyków, mogłoby w kraju, tylko częściowo zostającym pod jednym rządem, przyjść do rozmaitych rozterek.

Przeto niepożądanem jest kazać komisji, aby dla 20 jeszcze nieodgraniczonych mil zimowała ponownie w tamtych stronach. Nie brak podstaw do nadziei, że oba rządy zgodzą się pod tym względem. Co do innych spraw zewnętrznych wysnuł Granville z pominięcia ich w mowie tronowej wniosek, że nie ma zresztą na tem polu nic, czem należałoby się zająć.

Może jest w tem za wiele optymizmu, ale z pewnością nie ma nic takiego, co dawałoby powód do obaw.

Wiele części świata niedawno było w niebezpiecznym ruchu, ale teraz powróciło do równowagi, choć co prawda, trudno uważać jej jako stałą.

Utrzymanie pokoju zawisło od wielu okoliczności. W ciągu ostatnich 6 miesięcy widziała opozycja, ile trudności powstaje na południowym wschodzie Europy z powodu konfliktu młodych narodów ze starą władzą. Mówi dalej, że powyższe słowa jego nie są twierdzeniem, jakoby obecnie wszelkie obawy miały być mniej uzasadnione, aniżeli w czasie ubiegłej wiosny, sądzi jednakże, że nie ma powodu do kłopotów politycznych.

W długim przeciągu czasu zaznaczyła bardzo jasno kierunek swój polityka brytyjska, a według naszych zapatrywań i odziedziczonej tradycji jest nienaruszanie całości Turcji, określone traktatami, rzeczą wielkiej doniosłości tak dla pokoju europejskiego, jak dla interesów brytyjskich, a jakkolwiek z jednej strony pragniemy dołożyć wszelkich starań, ażeby ludom tego państwa zabezpieczyć dobrobyt i postęp, to z drugiej — obstajemy zawsze przy integralności Turcji, jako warunku, od którego zawisł obecny polityczny system europejski.

Mamy wszyscy nadzieję, że w obec tych zapatrywań podobnie jak w przeszłości będziemy za sobą mieli poparcie naszych sprzymierzeńców. Pomimo ewentualnych chwilowych trudności żywimy silną nadzieję i wierzymy, że trzymając się owej polityki, którą kierowano się w Anglji przez długi szereg lat, skutecznie i stanowczo przyczynimy się do utrzymania pokoju europejskiego.

Po przyjęciu adresu odroczono parlament do 30 sierpnia. W ciągu debaty adresowej miał Churchill podobną mowę w Izbie gmin jak Salisbury w Izbie wyższej. Churchill oświadczył, że rząd postanowił wysłać jenerała Butlera do południowo-zachodniej części Irlandji, ażeby stłumić nieporządki. Debatę w końcu odroczono.

Przyjechali do Lwowa

dnia 20. sierpnia 1886.

Hotel Europejski: W. Czyżewski z Przemyśla. J. Semak z Brzonek. H. Martynowicz z Czerniowiec. Dr. Flescher z Krakowa.

Hotel Zorża: L. br. Graeve z Orchowa. E. Damm z Hamburga. S. Szczepanowski z Słobody rungurskiej. A. hr. Starzeński z Iłowczy. E. Docan z Rumunji. Dr. M. Fedorowicz z Słobody rungurskiej. H. C. Salamons z Berlina. F. Schriefer z Bremen.

Hotel Angielski: F. Kobielski z Czerniowiec. S. Roszkowski z Warszawy. L. Kochanowski z Kijowa. M. Bełkiewicz z Warszawy. B. Karczewski z Ranachowa. A. hr. Łoś z Czyszek. F. Kossakiewicz z Doliny.

Hotel Langa: L. Radwański z Stryja. F. Kroiński z Lubienia. J. Liebisch z Löbau. S. Stiesen z Paryża.

Hotel Francuski: Książę M. Swiatopelk Mirsky z Rosji. J. Klaczko z Wiednia. F. Ciborowski z Paryża. A. Ciborowski z Paryża. R. Gabryszewski z Paryża. J. Jackowski z Rokszyna. Dr. L. Madejski z Brzeżan.

Z zbożowych targów.

18 sierpnia	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	7 75—8.27	7.50—8.—	7.50—8.—	7.80—8.40
Żyto	5.75—6.10	5.50—6.—	5.25—5.77	6.——6.30
Jęczmień	5.50—7.—	5.50—6.—	5.— —6.25	6.——7.- -
Owies	5.10—5.85	5·– —5.25	.—— .—	5.25— .—
Groch	6.— 10.—	6.— 8.—	5.90 7.75	6. —10.—
Wyka	— —	.—— .—	.—— .—	.—— .—
Rzepak	9.— 9.10	9.——.—	8.95 ·—	9.— 9.20
Lnianka	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	40.—48 —	—.——.—	—.——.—	— ———
Konic. biała.	45—55·	40.—55.—	38.—·50	40.—55.—
Konic. szwed.	———	—.——.—	—— —	——.—.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł 5. — 20 nominalnie.

Lwów. Z Izby handlowej, 18 sierpnia 1886.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	190 - –	193 25
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	227 50	230 50
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	278 —	283 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	215 —	220 —

2. Listy zastawne za 100 złr.

Tow. kred. galic. 5 prc. w. a.	101 75	102 75
„ „ „ 4 „ „	96 10	97 10
„ „ „ 5 „ okres.	101 75	102 75
„ „ „ 4 „ „	93 75	95
Banku krajowego 4½ % w. a.	96 —	97 —
„ hyp. galic. 6 „ „	103 20	104 20
„ „ „ 5 „ „	99 90	100 90
„ „ „ 5 „ z 10% prm.	102 —	103 - -

3. Listy dłużne za 100 złr.

G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	— —	54 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	— —	50 —

4. Obligi za 100 złr.

Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104 70	105 70
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	99 75	100 75
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	103 50	104 75
„ „ „ 1883 4½ % „	95 50	96 50

5. Losy.

Losy miasta Krakowa . .	17 50	19 50
„ „ Stanisławowa . .	27 50	31 --

6. Monety.

Dukat holenderski . . .	5·82	5·92
Dukat cesarski . . .	5·85	5 95
Napoleondor . . .	9·94	10·04
Półimperjał rosyjski . .	10·31	10·41
Rubel rosyjski srebrny . .	1·54	1·64
„ „ papierowy . .	1·21⅜	1·23⅜
100 marek niemieckich .	61.40	62.05

Ruch pociągów.

Ze Lwowa odchodzą:

(Podług zegaru lwowskiego).

Do Krakowa . . .	*10.44	4.10	*8.25	—.—	4.50
Do Podwołoczysk .	10.25	—.—	*4.08	*6.10	12.38
„ (z Podzamcza) .	10.55	—.—	—.—	*6.22	1.08
Do Czerniowiec . .	—.—	11.06	—.—	*6.20	12.22

Do Lwowa przychodzą:

Z Krakowa . . .	9.27	*5.50	11.35		*3.58
Z Podwołoczysk .	*10.24	3.05	*2.15	3.50	—.—
(na Podzamcze) .	*10.10	2.28	—.—	3.19	—.—
Z Czerniowiec . .	*10.03	8.35	—.—	3.30	—.—

* Gwiazdką są oznaczone pociągi pośpieszne W obwódkach czarnych ▭ są godziny nocne, to jest od szóstej wieczór do szóstej rano.

Odszczególniona
6 medalami zasługi

ALICHENJA.

Niezawodny środek na zupełne wytępienie grzyba domowego. — Kilogram 40 ct., przy 100 kilogramach opakowania się nie liczy. Na jeden metr kwadratowy potrzeba 2½ kilograma „Alichenji". Poleca: 1097 9—12

Jan Ihnatowicz

we Lwowie, ulica Kopernika.

Karol Weber & Józef Kirschner

przedtem

Fr. Kirschner

we Lwowie przy placu Trybunalskim l. 1. polecają swój obficie zaopatrzony

Skład mebli z drzewa i żelaza

wyrobu krajowego i zagranicznego

zwierciadła w ramach złoconych i orzechowych,

PAJĄKÓW z BRĄZU i SZKŁA,

Materje na meble, aksamity i dywany,

i przyjmują wszelkie zamówienia do tego handlu należące.

Główny skład mebli z giętego drzewa

z fabryki Braci Thonetów w Wiedniu

po stałych cenach fabrycznych. 1030 18—20

„Pilzneńskie Źródło"

plac Marjacki l. 3. wchód przez sień.

Jedyny we LWOWIE lokal

w którym się sprzedaje 1016 45—150

prawdziwe Piwo Pilzneńskie

Browaru mieszczańskiego

poleca się względom Szanownej Publiczności

Kuchnia smaczna. Wina doborowe. Ceny skromne.

Telefon dla użytku Szan. gości.

NOWOŚĆ!!!

Największy postęp!!!

Harmonjum z głosem organowym

których niepodobna odróżniać od **amerykańskich organów**

wykonywane

w Fabryce organów

JANA ŚLIWIŃSKIEGO

we Lwowie.

Wielki wybór ciągle na składzie.

Ceny umiarkowane.

Wysyłka do wszystkich krajów.

Na żądanie informacja i Cenniki franko. 1029

Kantor wymiany

c. k. uprz. gal.

akcyjnego Banku Hipotecznego

kupuje i sprzedaje

wszystkie efekta i monety

pod warunkami najprzystępniejszemi

5% LISTY hipoteczne,

jakoteż

5% premiowane Listy hipoteczne,

które według prawa z d. 1. lipca 1868 (Dz. p. P. XXXVIII N. 93) i najw. post. z dnia 17. grudnia 1871, mogą być użyte do lokowania kapitałów funduszowych, pupilarnych, kaucyj małżeńskich wojskowych, na kaucje i wadja, *są w tym kantorze do nabycia.* 841 136—?

Wszystkie polecenia z prowincji wykonują się bezzwłocznie po kursie dziennym, bez doliczenia prowizji.

Wielki skład POWOZÓW



najnowszych fasonów

SCHUSTALA i SPÓŁKI

c. k. nadwornej fabryki

pod zarządem firmy 997 45—46

E. & J. STROMENGER

we LWOWIE,

ulica Karola Ludwika, liczba 5.

Zniżenie ceny.

Chcąc pozbyć się nakładu, zniżamy o przeszło 50% cenę dzieła

KAPITAN FRACASSE

przez *Teofila Gautiera*, w przekładzie *Wł. Bogusławskiego*

Powieść tę, dwutomową, będącą jednem z najpiękniejszych arcydzieł literatury francuskiej, może każdy otrzymać za 1 złr., z przesyłką pocztową za 1 złr. 10 centów, a za zaliczką 1 złr. 40 ct.

Administracja „Przeglądu"

895 *Lwów, Sykstuska 45.*

Jadącym do Warszawy

poleca się z komfortem urządzone

pokoje meblowane (Chambres garnies),

położone w środku miasta, bo przy

ulicy Włodzimierskiej pod liczbą 4.,

zaopatrzone we wszystkie wygody, a po cenie nader umiarkowanej. **W żadnym hotelu niepodobna dostać równie taniego pomieszkania, tak dobrej i starannej usługi i takiej troskliwości o dobro i wygodę gości** 1123 12-24

Ogniotrwałe pokrycia na dachy

dostarcza w wytwornym gatunku po bardzo niskiej cenie całkowite pokrycia, jakoteż naprawy zepsutych dachów podejmuje się.

Paul Hiller et Comp. Wien IV. Favoritenstrasse 20.

GALICYJSKI

BANK KREDYTOWY

począwszy od dnia 17. Listopada 1885

wydaje

4% Asygnaty kasowe

z 30-dniowem wypowiedzeniem,

5% Asygnaty kasowe

z 90-dniowem wypowiedzeniem.

824 37—? **Dyrekcja.**

BIURO

Stow. Nauczycielek

przy ul. Szewskiej Nr. 8 w Krakowie

pod kierunkiem

A. DEMBOWSKIEJ

poleca Szan. Rodzicom i Opiekunom

nauczycielki

polki, francuski i angielki — oraz

bony i wychowawczynie

tychże narodowości. 957 22-?

Banatka do siewu

100 k. po 9·40 bez worka na kolei w Dembicy. Zamówienia przyjmuje do 30 sierpnia b. r. Roman Fiszer w Ołarzelowie p. Mielec. 1125 2—5

Pomieszkanie.

Przy ulicy Krasickich Nr. 12 jest do wynajęcia od 1 Września na 2 piętrze pomieszkanie o 7miu pokojach z przynależnościami — może być dodana stajnia. 1134 2—4

BIURO

NARODOWE

dla kupna, sprzedaży, wydzierżawień, najmu, informacyj, ogłoszeń i służby wszelkiej kategorji, C. K. Korzeniowskiego, Lwów ulica Sykstuska Nr. 8. — otwarte od 7 rano do 8 wieczór — Przyjmuje wszelkie zgłoszenia i zlecenia.

Skład towarów

J. & S. KESSLERA

w BERNIE

(Morawa)

(Brünn Ferdinandsgasse Nr. 22)

rozsyła

10 mtr. czarnego Terno za zł. 4·—
10 mtr. półwełnianego kaszmiru, podwójnej szerokości . . . . „ 4·—
10 mtr. trojniaku (Dreidraht) w najlepszym gatunku . . . . „ 2·80
10 mtr. kratkowanej materji na szlafroki . . „ 2·50
1 garnitur rypsowy tj. 2 kapy na łóżko, 1 serweta na stół z kutasami . „ 4·50
Domowego płótna 30 łokci „ 5·—
1 resztka berneńskiej materji wełnianej długości 3¼ mtr. na 1 kompletny ubiór zł 3·75 — gatunek przedni . . . . „ 5·—
1 resztka 10—12 mtr. chodnika (Laufteppich), w najlepszym gatunku „ 3·60
Fartuszki z szyfonu, kretonu, surowego płótna i z oxfordu, garnirowane koronką z taśmami do wiązania 6 sztuk . . . . „ 1·60
Męskie czapki z przedniego sukna berneńskiej, podszyte satyną 6 sztuk „ 1·20
Kobiece koszule z dobrego płótna (Riesen Leinwand) obszyte krepinką 6 sztuk „ 2·75
Koszule robotnicze z górskiego oxfordu kompletnie wystarczającej wielkości 6 sztuk . . „ 2·75

Rozsyłka pocztą za pobraniem należytości. 1131 b 5—10

Na żądanie bezpłatne i opłacone cenniki i wzory.

Anonse PP. Abonentów.

(Które każdy abonent ma prawo wilej umieszczać bezpłatnie w objętości 12 wierszy miesięcznie).

Wdowa po byłym obywatelu wiejskim życzy sobie przyjąć dwóch studentów lub dwie panienki na mieszkanie i wikt, opieka troskliwa, warunki przystępne, na żądanie mogą mieć w domu gruntowną naukę języka francuskiego i gry na fortepianie, także pomoc w szkolnych. Bliższa wiadomość ... Jindego L. 7 pierwsze pi...